

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





OPOWIADANIA HISTORYCZNE Nr. 1

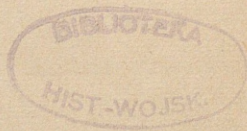
✓
J. B. RYCHLIŃSKI

BYŁ BÓJ POD OLIWĄ

(A. D. 1627)

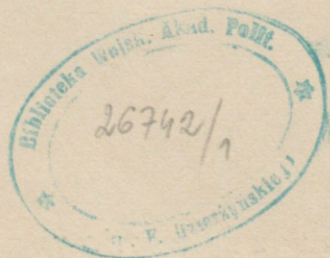
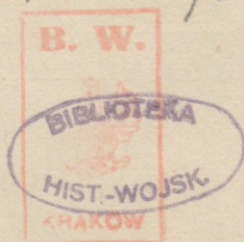
OPRACOWANIE HISTORYCZNE
WITOLDA HUBERTA

*Dublet
Hs 9*



NAKŁADEM „NASZEJ KSIĘGARNI”, SP. AKC.
ZWIĄZKU NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO, WARSZAWA,
1935.

33.41/156
14536/1



BYŁ BÓJ POD OLIWĄ
(A. D. 1627)

4806

I.

Grześ Fafuła wpadł jak burza w wąską sień domu imci pana radnego Hewela, stąd zaś, po kilka stopni przeskakując, po schodach, wiodących na pięterko, znalazł się w alkowie przyjaciela swego Jurka. Pucółowata twarzyczka Grzesia płonęła kraśnym rumieńcem, przymrużone dla krótkowidztwa małe jego oczki sypały skry, a fertyczny jęzorek plątał mu się po wdzięcznej gębusi. Aż krzywiąc się okropnie i zającując, wyszeplecił:

— Gdzie jest Król? Król Jegomość?

Jurek Hewel¹⁾ roztropnie palec do ust przyłożył. Powstając od sekretarzyka, różanem drzewem inkrustowanego, wskazał on milkliwie w stronę zawartych drzwi, z poza których dochodziło mamrotanie wzburzonych głosów wielu, jakgdyby tam był ul, mający się lada moment wyroić.

— Cyt, cyt... — uspokajał Grzesia starszy koleżka.

— Hewelek, ty durniu jeden — zasyczał ostrym szeptem Fafuła — czegożeś nie gadał, że przybędzie na tajemną naradę Król Jegomość!

¹⁾ Postać historyczna, p. Przypisy.

— Sam ty dureń — odparł Jurek Hewel, pie-szczotliwie Hewelkiem zwany, — niemasz tu ni-jakiego Króla. Ktoś, komu wróble w pustej głowie ćwierkają, rozpuścił głupie gadki o przybyciu J. K. Mości, dlatego jeno, iż temu dwa roki na perlustru-nek ¹⁾ swojej floty przedarł się do naszego grodu z niebylejakim hazardem. Starczyło, aby wszystkie jężory mleć poczęły, jak najęte. Bez wszelkiej racji, bo tylko wieści od jaśnie wielmożnego pana hetmana wielkiego nadeszły. Zresztą... słodkie pysio stul... i sam posłuchaj:

Z poza drzwi zawartych komnaty rozbrzmie-wał potężny bas admirała Dykmana ²⁾):

— ...ordynas od hetmana Koniecpolskiego ³⁾), ...aby, nie mieszkając, całą morską siłą uderzać na Szweda. A ja was pytam, mości panowie, gdzie szu-kać chytrego nieprzyjaciela? Może w samej Piławie, kędy swe leże ma, he?

— Co jest do spełnienia niepodobne — wtrącił ostro pułkownik Bąk-Lanckoroński ⁴⁾). Inna rzecz, gdyby nieprzyjaciel na Małe Morze się zapuścił.

— Nie uczyni tego — zaoponował jeden z ofi-cjerów, którego głos chłopcom był nieznanym.

— Uczyni bez pochyby — energicznie zaprze-czył pułkownik. A to z tej racji, że desant ⁵⁾ wysa-dzić zamierza.

Znowu ktoś nieznanym głosem zabrał:

¹⁾ Przegląd, p. Przyp.

²⁾ Dykman Arend, p. Przyp.

³⁾ Hetman Wielki Koronny, p. Przyp.

⁴⁾ Zdobywca i komendant Pucka, p. Przyp.

⁵⁾ Wojsko na wybrzeżu nieprzyjacielskiem, p. Przyp.

— Gdańsk od wojsk hetmańskich odciąć się łakomią...

Dłuższą chwilę głosy sypały się bezładnie.

— W tem moje fortalicje siła im zawadzają, ...które od Oliwy na Oksywie i dalej precz przez Puck aż do Helu się ciągną... — podjął pan Lanckoroński i zamilkł, jakby nagłą myślą uderzony.

— Jeśli im się dotychczas nie poszczęściło, to dlatego, nie ujmując bohaterstwu nielicznych obrońców, iż ścisłej pozycji ich nie znają — rzucił od niechcienia admirał.

— Tożes mi Wasza Dostojność z ust wyjął — dodał Lanckoroński. — Nie znają, ale poznają. Szpiegów wybornych mają oni.

— Nie to, co hetmańska kwatera. Dla szpiegowskiego rzemiosła despekt mamy zgola...

— Siła Szwedy o nas wiedzą, a my o nich...?

Sentencje obradujących się krzyżowały, rejwach jedynie czyniąc.

— I tak będą rajcowali do kółka panie Macieju — szepnął Hewelek, szturchnąwszy w bok Fafułę. — Chodź, mam ci rzec coś arcy-ważnego.

Wyciągnąwszy zaciekawionego Grzesia w sień, której flizy w świetle ogromnej rogatej latarni lśniły jak zwierciadło, Hewelek ujął się pod boki i ozwał w te słowa:

— A czy ty wiesz, świszczypało, że tajemnicę, nad którą nasi zacni oficerowie się głowią, ja, nie chwalcę się, mógłbym zgłębić.

— Fiu! fiu! — zagwizdał Grześ, zwinąwszy ucieszenie puciołowatą swą mordkę. — A niktby nie zgadł, że z ciebie, Hewelek, taki jenjusz wojenny, bo

to i prezencję masz mizerną, i piegi na nosie, i mówią, żeś w całej infimie ¹⁾) największy asinus asinorum ²⁾).

— Kto z nas obu większy kłapouch — oburzył się Hewelek — ja, który na sztabie Jakóba ³⁾), ba i na astrolabji ⁴⁾) się znam, miejsce okrętu wedle słońca i gwiazd wyliczę, a całe Małe Morze znam, jako własną kieszeń, czy ty, co o sobie tyle rzec możesz, że „loquor latine” ⁵⁾).

— A żebyś wiedział — ożywił się Grześ — że nie tylko najpiękniejszą złotą łaciną kwieścić się wyśłowić potrafię, bo i całe tęgo po niemiecku i szwedzku.

— Właśnie w tem sęk — odrzekł Hewelek z niezwykłą powagą. — I niech mnie kule biją, jeślibym wciągał ciebie w tę karkołomną imprezę, gdybyś, hm, szwedzkiego tam odrobinę nie liźnął. Bo to widzisz, fistułko — dodał nicpoń żartobliwie — kto wie, czy się na tej wyprawie ze Szwedy spotkać nie przygodzi, a zawsze lepiej wiedzieć, co nieprzyjaciel gada. Takóż, chcąc nieprzyjaciela zamiar spenetrować, musisz znać jego mowę. Toć to proste jak obręcz i pierwszy służby wywiadowczej kardynałny warunek.

— *Conditio sine qua non* ⁶⁾) — przetłomaczył Fafuła skwapliwie i okrutnie się napuszył. — Ha,

¹⁾) Szkoła.

²⁾) Osioł nad osłami.

³⁾) Przyrząd żeglarski, p. Przyp.

⁴⁾) Przyrząd żeglarski, p. Przyp.

⁵⁾) Mówię po łacinie.

⁶⁾) Konieczny warunek.



jeśli ci się tym sposobem przydać mogę!.. No, co to za sekret?

— Znasz Benysia Szelfa? ¹⁾ — spytał starszy chłopiec.

— A jakżeby inaczej? Tego urwipołcia, tego stracha na wróble, który flądry na targ rybny zwozi? Toż to rybak, jak i jego stary.

— Ej, miły bracie, — pouczył Hewelek — okazując despekt ich kondycji, błędzisz srodze. Wiem, że jeść rybki lubisz, a same bez rybaka nie wpadłyby ci do gąbki, nie wziąłbyś ich na hak samą łaciną. Bardzo użyteczny to zawód, a Szelfowie — zawołane rybaki. Nie w tem rzecz wszelako. Benys mi się zwierzył, że na Mewiej Rewie co trzecią noc upiorne światło się pokazuje. Oni ze starym, widząc to światło, pietrają się okrutnie. Boją się topielców. To wędle nich jest złe miejsce.

Fafuła przeżegnał się pośpiesznie.

— Z nami siła niebieska — wymamrotał, co widząc Hewelek wybuchnął szczerym śmiechem. — Ha! ha! ha! — śmiał się. — Ot, chluba infimy, pupilek Dominus Jacobus'a ²⁾, a zabobonnyś jak człek zgoła ciemny. Na co łacina ci się zdała? Co trzeci dzień światło się pokazuje, toć ci mówię!

— To co? — spytał Grześ, wytrzeszczywszy na kolegę swe wylupiaste oczy krótkowidza.

— Słuchaj, asinus asinorum! — przekładał Hewelek. — Gdyby to były duchy, to przychodziłyby tak rychtyg, co trzy dni, jak wymierzył, he?

¹⁾ Postać historyczna, p. Przyp.

²⁾ Profesora Jakóba.

— Kto je tam wie — zamrugął bezbarwnemi rzęsami Grześ Fafuła.

— Ale ja wiem, że nie — z całą pewnością oświadczył Hewelek. — To są szwedzkie szpiegi. Ot, co jest.

Fafuła milczał.

— No, cóżś wody do gęby nabrał, czy co?

Nie było odpowiedzi.

— Regularnie, co trzecią noc, jak w kalendarzu — powtórzył Hewelek. — Chyba, że wypadnie bardzo zła pogoda, kiedy mały statek na morzu się nie utrzyma.

— W tem coś jest — bąknął Fafuła.

— Sam widzisz! Juści, że zbadać to niełatwo, że na to trzeba bardzo mężnego serca. Bo się tam wodzą nie upiory, a Szwedzi, którzy, ułapiwszy, gotowi ze skóry obłupić, a i po nocy się tłuc wypadnie, kiedy lęk najodważniejszych przejmuję...

— Nie? — stropił się Grześ.

— No, Fafuła — podjął rzeczowo Hewelek — widzę, że febris ¹⁾ ze strachu cię trzęsie i rozum ci miewsza. Kiedy to światła się palą? Chyba nie w dzień, a w nocy. I jakże to kogo w dzień na morzu zaskoczyć? Toć jasno i kręgiem widać jako na patelni. No, ruszasz z nami?

— Hm. Z nami? Niby z kim?

— Ano, ze mną i z Szelfami, Benysiem i jego starym.

— Toć oni się upiorów boją.

— Boją się, ba! — mruknął młody Hewel —

¹⁾ Gorączka.

ale zato dostaną przygarść dukatów z moich oszczędności, a dla rybaków to majątek. A ty się boisz?

— Ja! Ja bać się! — zawołał Grześ zadzierzyście. — To się po Fafule nie pokaże!

— Jutro, skoro świt Szelfowie wyruszają na zieleńta ¹⁾. My z nimi.

— Już jutro? — Fafuła zdał się zaskoczony.

— A co?

— Nic.

— Bo to, widzisz Grześ, dla Rzeczypospolitej byłaby wielka przysługa.

— Gdyby tak chycić szpiega! — zawołał z zapalem Fafuła, którego, jak bywa u nieśmiałych, którzy nie są jednak tchórzami, porwał animusz wojenny.

— A najważniejsze — rzucił na odchodnem Hewelek — nikomu ani mru-mru.

— To się rozumie.

¹⁾ Zieląta — foka po kaszubsku.

II.

Niełatwo zapuścić pławnicę na foki - zielęty, sieć, złożoną z pojedynczych skrzydełek, ciągnioną po morzu i uwiązaną u kutra ¹⁾), a na końcu mającą pływak drewniany, zwany bobrem. Znać trzeba było dobrze miejsce, którędy spływa kuter rybacki, prądem unoszony.

Dopiero koło południa stary Szelf przy pomocy swego syna Benedykta i Jurka Hewela dożeglował w przetokę Helu. Mimo łagodności zimy w roku Pańskim tysiąc sześćset dwudziestym siódmym, pogoda listopadowa na morzu była cierpka, a wiatry, choć lekkie i ledwie szczybiące gładź, przejmowały do szpiku kości. Niezwyczajny żeglugi Grześ nieborak w schowku na żagle szczykał zębami. Wreszcie wśród gęstego poszycia boru na międzymorzu rozpalono ognisko. Naprędce nałowione flądry i sole zaskwierczały nad ogniem. Grzane piwo, którego beczułkę zabrali żeglarze na bat ²⁾) Szelfa, wnet przywróciło im władzę w zgrabiących członkach, wlewając w zeszytyw-

¹⁾ Mały statek, p. Przyp.

²⁾ To samo co kuter.

niałe ciała wigor ¹⁾ życiodajny. Takiej uczty chłopcy jeszcze nie mieli. Nic tak na lądzie smakować nie mogło, jak na wydmuchu w międzymorskim borze. Stary Szelf zakurzył krótką fajeczkę. Obyczaj palenia tytoniu właśnie w owe czasy z Niderlandów ²⁾ zwolna przenikał.

Piwo, choć cienkie, uderzyło smać młodym do głowy, bo Hewelek, skryty z natury i milkliwy, począł opowiadać dziwy o wielkich zamorskich wyprawach, o karawanach okrętów, które się wzajem przeciw piratom ³⁾ wspomagały, o dalekiej żegludze po wielkiej wodzie, dzielącej europejskie kraje od Indyj Wschodnich i Zachodnich, o wojnach o lądy owe między potencjami, przy których drapieżny Szwed znikał, jako księżyc przy słońcu, między cesarzem hiszpańskim, Ollenderskimi Stanami ⁴⁾ i koroną angielską. Grześ Fafuła tarł oczy i ciągle mu się wydawało, że wszystko, o czym Hewelek prawi, to sen jeno, młody zaś Szelf, nad wiek i niską swą kondycję rozgarnięty, chciwie łowił uchem owe informacje, które nieraz doń docierały, wiedział on bowiem nie mało z opowieści starych wilków morskich po gospodach. Stary Szelf jeno od czasu do czasu kiwał głową na znak, iż on, choć ubogi i ciemny rybak, więcej był świata świadom od niejednego bakałarza i magistrza. Poniechawszy materij politycznych, Hewelek przeszedł do opowiadań o dziwach natury. Zrazu Grześ zakrzyknął, iż nie może być żadną miarą ryb,

¹⁾ Siła.

²⁾ Dzisiejsza Holandja.

³⁾ Rozbójnicy morscy.

⁴⁾ Dzisiejsza Holandja.

większych od welbotów ¹⁾ — ryb, które wodę nabra-
ną do paszczy, w kształcie pióropusza przez głowę
wydmuchują, z czego się nad nimi piękny wodotrysk
tworzy, ale poważne „Jo, jo” starego Szelfa zbiło go
z pantałyku. Na owe wieloryby, a z niemiecka wal-
fisz, polują dla ich tłuszczu, zwanego tranem, który
w beczkach sprowadzają. Fafuła własnym uszom nie
wierzył, rozdziawiwszy puciołowatą gębę. Iżby wie-
loryby miały gardło tak wąskie, że nic większego
połknąć nie mogły, całkiem wierzyć mu się nie chcia-
ło. O innych rybach, równie wielkich, z paszczami
u spodu, zwanych rekinami lub żarłaczami, bo ludzi
pożerały, gwarzono nieraz przy dymiącym grogu ²⁾.
Szelfowie o nich wiedzieli tedy, a nawet potrafili opi-
sać, jakie mają pletwy, jakie wymiary i ogony, a rów-
nie jak je zażyć i walczyć z nimi w ostatecznym ter-
minie. Czemużby tedy, nie miało być stworów, jak
polipy albo mątwy, strasznych, jak najpotworniejsze
zmory senne, które inkaustem ³⁾ wodę mąciły, a mac-
kami swemi ofiarę obwijają? A jeszcze innych ryb
z pyskami w kształcie młota lub piły? Mówiono nie-
raz, że taka ryba z nosem twardym, jak miecz, zato-
piła okręt, dno mu przebijając. I wogóle żegluga, peł-
na była niebezpieczeństw, o których mieszkańcom lą-
du ani się nawet nie śniło. Słusznie tedy żeglarze,
którzy nieznanym niebezpieczeństwom ustawicznie
stawiali czoło, gardzili ludźmi lądowymi, szczurami
lądowymi ich przewawszy. Bo prawdziwy wilk

¹⁾ Dużych szalup.

²⁾ Napój z rumu.

³⁾ Atramentem.

morski był panem wszego stworzenia. On znał się na wiatrach, na gwiazdach, na pogodzie, na morzach bez kresu, na lądach obcych i cesarstwach, na wartości roślin i minerałów, słowem na całym pięknym świecie Bożym. On przebywał ocean Indyjski i Atlantycki, a nawet kędyś tam istniejący Wielki czyli Spokojny, gdzie wbrew tej nazwie wały biegly nieraz narówni z masztami naw ogromnych o wielkiej wyporności¹⁾ Tam, na tych oceanach burze okrutne, mieniające się cyklonami i orkanami, wyrwały i łamały wysokie, na podobieństwo wież, maszty. Za wielką wodą inny się świat roztaczał, pełen zwierząt drapieżnych, gór niebotycznych, pustyń, puszczy, w których Czerwone Skóry mieszkają...

— Łesz jak z nut, Hewelku — przerwał przyjacielowi Grześ Fafuła. — Zaraz widać, jaki z ciebie ignorant²⁾. Nie przeczę, że muszą być jakoweś fines orbis terrarum³⁾, o których pisali już starożytni, ale za nimi niemasz nic, nic zgoła. Dlatego zwą się fines.

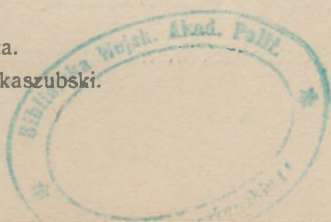
— Fines orbis terrarum? — spytał Hewelek. Gdzież one są? Nigdzie jeszcze wędrowiec nie natrafił na nie. Natomiast lądy i morza nieznanne są niezawodnie. Każdemu gburowi⁴⁾, co się po świecie trochę obracał, to wiadomo, a już z całą pewnością polegać można na zdaniu człowieka tak światłego, jak

¹⁾ Mierzy się okręty ciężarem wody, którą wypierają, p. Przyp.

²⁾ Nieuł.

³⁾ Krańce świata.

⁴⁾ Tutaj chłop kaszubski.



pan Heljasz Arciszewski ¹⁾), którego brat Krzysztof ²⁾), generał w służbie ollenderskiej West-Indzkiej Kompanji, tam wojuje i w Ksenofontowych pochodach ³⁾) nieśmiertelną sobie chwałę pozyskał. Owe kraje mieszczą się po przeciwnej stronie ziemi, na Antypodach!

— Nonsens! — zaperzył się Fafuła, całkiem już rozbudzony, i tupnąwszy nogą, zawołał: — Toć tam jest Hades starożytnych czyli piekło.

Obaj Szelfowie pobożnie się przeżegnali. Hewelek machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

Grześ podniósł rękę, wskazując na słońce, które już się kłoniło w stronę Pucka, i zapytał: — Po czym słońce wędruje?

— Po niebie.

— A widzisz — podchwycił mądry Grześ — to po przeciwnej stronie nieba musi być piekło. Ziemia jest płaska...

— Ot, co znaczy bakałarzy słuchać! — wybuchnął Hewelek. — Ziemia jest krągła jak jabłko, a raczej jak jaje.

Grześ aż porwał się z oburzenia, oczy wytrzeszczył i począł szeplenić i jękać, co mu się z emocji często zdarzało: — To... to... to... łgarstwo! Co za ba... ba... bania... luki!

— Jeśli ziemia jest płaska — podjął Hewelek — to czemu na równinie, zbliżając się do wieży, widzimy najpierw szczyt jej, a dopiero później mury i pod-

¹⁾ Pułkownik, p. Przyp.

²⁾ Sławny wódz Holendrów i polski generał artylerji, p. Przyp.

³⁾ Pochodach Ksenofonta, sławnych w starożytności, p. Przyp.

stawę, to czemu z okrętu na morzu widzimy najpierw szczyty masztów, potem żagle, a potem dopiero kadłub? Toć proste, bo cały okręt jeszcze za górą wody się kryje, za wypukłością morza żagli, burt, kadłuba nie widać. A skąd ta wypukłość? Bo morze jest okrągłe. Weź ten żagiel na pełnem morzu, tam na Północo-Wschodzie, jest to okręt, który przez cieśninę międzymorza widać...

Obaj Szelfowie nie słuchali więcej. Stary rybak porwał się za brodę i jeszcze bardziej, niżli zazwyczaj, w nagłej alteracji ją rozczochrał.

— Co się stało? — zawołał Grześ, wytrzeszczając oczy, dla których dal morsa nie istniała.

Rybacy biegli w te pędy do swoich sieci.

— Co się stało? — powtórzył Hewelek z marsem na czole. — To się stało, bracie, że my tu gadu gadu, a z tamtej strony mogą być Szwedy.

Pucołowata twarzyczka Grzesia powlokła się błądzą. — U... u... uciekajmy! — wyjąkał.

Jurek Hewel podszedł ku Szelfom, skąd lepiej było widać pełne morze. Krogulcze swe szare oczy, odrobinę może zablisko osadzone, co nadawało mu ptasi wygląd, wbił znagła w horyzont, potem je zamknął, potem znów wzrok wyteżył.

Grześ szedł krok w krok za Jurkiem, patrząc mu pilnie w twarz. Obaj Szelfowie gorączkowo sieć wybierali. Wreszcie ozwał się Hewelek:

— Tam są dwa żagle.

— Co? — zawołał Fafuła.

— Dwa żagle, mówię, jeden na Nord-Oście¹⁾,

¹⁾ Na Północo-Wschodzie, p. Przyp. pod Kierunki.

drugi na Wschód od niego dalej, na jakie pięć rum-
bów ¹⁾).

Stary Szelf przełknął głośno, łypnął oczyma ku
wolnej przestrzeni, skrzącej się grą niskiego słońca,
i rzekł tylko:

— Rychtyg.

Jurek Hewel obejrzał się dokoła. Świat widzial-
ny z wydm nadbrzeżnych był groźny, surowy, nieu-
błagany. Na Zachód i Południo-Zachód, ku Puckowi,
ciągnęła się odtajała skorupa lodowa. Jasne było, jak
dzień, którego ze dwie godziny pozostawało, że
o ucieczce przez ową z kaszubska zwaną „płonień”,
która w drobną krę przechodziła, nie mogło być mo-
wy. Jak doświadczony żeglarz, Hewelek nadstawił po-
liczek na nierówne podmuchy południowo-zachod-
niego wiatru i ozwał się do starego Szelfa:

— Będziemy mieli lichy wiatr.

A stary rybak, nie odrywając oczu od roboty,
odrzekł krótko:

— Oj, lichy wiatr, lawir ²⁾).

Czarne ręce rybaka migały po obwodzie sieci.
Stary mruknął przez zęby: — A niechno panicz wy-
bierać pławnicę pomogą.

Rozumiejąc, jaki majątek sieć przedstawia dla
rybaka, Hewelek nie próbował nawet nakłaniać go
do jej poniechania. Zabrał się do ciężkiej roboty. Tym-
czasem poza pasami głębokiej wody, czyli szorami,
żagle podnosiły się na horyzont.

— Trzeci żagiel! — zawołał młody Szelf.

¹⁾ Rumb równa się 1/32 horyzontu, p. Przyp.

²⁾ Wiatr niedogodny, p. Przyp.

— Gdzie?

— A... hoj, za północnym szorem.

Rzeczywiście biały cień żagla, trzeci z rzędu, zamajaczył, ukazał się, znikł i znów się ukazał w północnym kierunku. Hewelek miał zbyt dobre oczy, aby trzeciego żagla nie dostrzec.

— Toć to cała flota! — zawołał.

Nie było odpowiedzi. W muskularnych, posiekanych rękach robota zdawała się palić rybakom. Ale wybieranie sieci — ciężka to praca. Wielką sieć wybrać! Na to trzeba czasu. Rybacy byli markotni. Hewelkowi szło niesporo. Niezwyczajny rybackiego rzemiosła coś tam naplątał. Przy największym pośpiechu zeszła mała godzina zanim sieć została zdjęta i załadowana do schowka na dziobie¹⁾ rybackiego batu, a podczas tej mitręgi trzy żagle na widnokręgu wystąpiły w całej okazałości w kształt szczycieli i topsli²⁾ trzech naw potężnych. Już dwie z nich gołym okiem poznać można było jako galeony³⁾. Za trzecią nawą w szyku torowym⁴⁾ ukazał się znów żagiel.

Stary Szelf skoczył nareszcie do swego batu i krzyknął na synka:

— Rumaj⁵⁾ na pojazdy!

Benyś ujął mocno za wiosła nieokute—pojazdy, a Hewelek wiosłem okutem, czyli remą, począł się

¹⁾ Dziób — przód okrętu.

²⁾ Górne żagle.

³⁾ Ówczesne okręty linjowe, p. Przyp.

⁴⁾ Szyk torowy — znaczy, że okręty wojenne idą jeden za drugim.

⁵⁾ Rumać — wiosłować po kaszubsku.

od kry nadbrzeżnej odpychać. Stary rybak musiał mu jednak ster oddać i potężnie pracować wiosłami, aby się jaknajprędzej z groniastego lodu na gładziznę wydostać. Wciąż nie mieli pomyslnego wiatru tak, że hyssować¹⁾ żagli nie było naco. Druga para pojazdów, którą zabrał Szelf w zrogowaciałe swoje dłonie, skrzypiała i chrobotła w dulkach. Aż miło było patrzeć, jak migały pióra wiosel, w porę tnących wodę, w porę podrywanych. Na obnażonych ramionach rybaków wystąpiły sine żyły, a pomimo listopadowego ziąbu pot uperlił im czoła. Tak pomykali sprawnie poza kosą Helu, stanowiącego od strony nieprzyjaciela naturalną zasłonę, wiedząc, że im później zostaną przez flotę dostrzeżeni, tem dla nich lepiej. Tylko taki żółtodziób, jak Grześ Fafuła, mógł chyba żywić nadzieję, że okaże się ona karawaną kupieckich statków, zmierzających w pokojowych zamiarach na redę Gdańska.

— Co to za flota? Co to za flota? — powtarzał Grześ, dzwoniąc zębami. — To chyba Szwedy.

— Nie, to flota francuskiego króla nam na odsiecz — zadzwiał Hewelek. — Kto wie, może to hiszpańscy kawalerowie z beczkami dublonów²⁾ dla jego magnificencji Grzegorza Fafuły.

— Dlaczego, u licha, akuratnie mają być Szwedy? — rozmyślał głośno Grześ, czepiając się cienia nadziei. — Mogą być kupcy?

— Bo gołem okiem da się już poznać po tym galeonie, co idzie na przodku, że to okręt wojenny.

¹⁾ Hyssować — wciągać żagiel do góry.

²⁾ Moneta hiszpańska, p. Przyp.

— Czegoś nie wziął perspektywy¹⁾? Mogłeś ją pożyczyć od twego wujka admirała, albo poprostu zwędzić?

— Chryste Panie! — oburzył się Jurek. — Cała nasza nadzieja, że wezmą nas za prostych rybaków. Dlatego my broni z sobą nie zabrali i wciąż gnęli na się najlichszy przyodziewek. A ten wyjeżdża z perspektywą!

— To oni nas capną?

— Może i nie. Nam trzeba pośpieszać, abyśmy swoich uprzedzić zdążyli.

— Na to oni nie mogą pozwolić, abyśmy wszczęli alarm.

— Tak i mnie się widzi, Salomonie. Ale, ale, słuchajno, i dobrze sobie zakonotuj. To ci na wszelki wypadek powiadam, nie żebyś się na zapas pieotrał, ale żebyś wiedział. Gdyby co do czego przyszło, ty się ze swą niemczyzną, a tembardziej szwedzizną nie wrywaj. Stul pysk, a na wszelkie pytania: „Ni, ni, Kaszuba som!” — odpowiadaj. Zrozumiałeś?

— Co nie mam rozumieć.

— Bo jeśli naszej admiralicji trzeba języka, tak samo ich dowództwu potrzeba. Lepiej, żeby się do nas nie przyczepili, jak rzep do psiego ogona, lecz jak się czepią...

Szczerb, łyskający rumianem złotem bliskiego zachodu słońca, widniał poza ostatnimi chałupami i rozpiętymi sieciami osady helskiej. Tam była droga wiatru, który trzepotał już wciągany przez ryba-

¹⁾ Lunety.



ków co duchu grot-żaglem ¹⁾). Wciągnąwszy pojazdy, wzięli się wszyscy do ożagłania kutra. Wnet też wyprysnęli na bujowisko ²⁾).

Wiatr mieli w pół burty.

Od Nordu żeglowały potężne nawy. Były o miłę ³⁾, najwyżej o półtorej. Szwedzkie! Hewelek rozcznał błękitną banderę ⁴⁾, rozwianą na rufie ⁵⁾).

— Co? — bełkotał Grześ krótkowidz. — Kto to? Kto oni?

— Rychtyg Szwedy.

Fafała cały się w głąb luki ⁶⁾ osunął.

Na bezpiecznym brzegu bohaterstwo wydawało się łatwe. Co innego, na ambit wzięwszy, ważyć się na wody, po których pomykał cień owej drapieżnej bandery, a co innego w posępnym jej cieniu, znaleźć się, i to blisko, djabelnie blisko.

— To oni nas widzą? — skroś łoskot i łopot tężejącego wiatru krzyknął Fafała.

— Lepiej niżli my ich — odrzekł gorączkowo Hewelek — bo na każdym gnieździe ⁷⁾ warta u nich stoi i patrzą zwysoka.

— Ej, ty gamoniu! — ryknął stary Szelf na swego synalka — czego stawisz styr ⁸⁾ równo? Na nic biec po wietrze ⁹⁾).

¹⁾ Największy żagiel na statku, p. Przyp.

²⁾ Otwarte i wzburzone morze.

³⁾ Mowa o mili morskiej — 1.852 m.

⁴⁾ Sztandar, p. Przyp.

⁵⁾ Rufa — tył okrętu.

⁶⁾ Luka — otwór w pokładzie do wnętrza okrętu.

⁷⁾ Gniazdo bocianie na maszcie.

⁸⁾ Styr z kaszubska ster.

⁹⁾ Żeglować w kierunku wiatru.

— Ale mając pełny wiatr w żagle — wtrącił się Fafuła — ostawimy ich za sobą.

— Nijak, paniczu — odparł stary rybak, — bo jedna z ichnich naw przyprze nas do pruskiego brzegu ¹⁾).

— Nie wtrącaj się! — Hewelek krzyknął surowo na Fafułę. — Jedyna nasza nadzieja sterować na Mewią Rewę, gdzie dla płytkości wód przestaną gonić, albo kawał drogi nałożą, a w tym przypadku my nad nimi przewagę zyszcemy. Prawo na burt ²⁾! Benyś! — zwrócił się do młodszego Szelfa gromowym głosem, jak prawdziwy kapitan.

Misterna to była żegluga. Wzmagał się wiatr, a z nim prysk jadowity, szła fala po morzu, zdobiąc je w wełny, gdy słońce zachodu polewało je karminem. Aż całe to morze, jak okiem sięgnąć, turkusowe płycizny i szafirowe szory, spłynęły niby miedzią drobno kowaną. Chmura mętna, wzdęta podleciała ku słońcu, potem jego rąbek ognisty pokryła czernią niby maską. I wnet zmienił się obraz. Morze zaigrało mnóstwem niebywałych odcieni. Z nieba między ramionami chmury lały się rzeki światła, nadając jednym wodom podobieństwo tarcz wypolerowanych, gdy inne zachodziły bielmem liljowem.

Wszelako owa wspaniałość świetlana dla naszej dzielnej załogi była stracona. Hewelek ze starym Szelfem dodawali żagli, Benyś sterował z wytężeniem, co przy rosnącej fali stawalo się coraz odpowiedzial-

¹⁾ Wiatr pędził ku brzegom Prus Wschodnich, zajętym przez wojska szwedzkie.

²⁾ Zwrócić ster na prawo. Komenda.

niejszą funkcją. I nawet Fafuła gorączkowo zajęty był czerpaniem, gdyż coraz to wał, przybijając wół burty, tryskał i przelewał się grzebieniem. Zaczęło wiać pianą. I stało się jasne, że na zbawczym kursie ¹⁾ ku Mewiej Rewie długo już nie wytrwają, jeśli chcą uniknąć zatopienia. Wielka nawa szwedzka miała oczywiście te same warunki żeglugi, ale przed falą chroniły ją wysokie burty ²⁾. Polska łupinka co innego. Prysk był dla niej zabójczy. Władząc to i doceniając, stary rybak zachrypiał:

— Lewo na burt³⁾, Benys!

Młody Szelf przełożył głowicę steru. Wyrównał. Żagle się jak policzki trębacza wydeły. Pomknęli z wiatrem nierównie chyżej. Mieli wiatr z tyłu, z rufy.

Jednocześnie jednak na szwedzkim okręcie wygalonowany oficer przyłożył do ust tubę i padł jakiś rozkaz. Sternik mu odpowiedział, i zamigotały w jego ręku okute miedzią szprychy sterowego koła, w jedną, w drugą stronę. Wielka nawa zakreśliła szeroki łuk po morzu.

Szwedzki okręt poszedł wślad za polskim rybakiem.

Gorejące słońce zachodu staczało się nad wyraz marudnie ku błękitnym zarysom polskich brzegów, a przecież noc tylko mogła ocalić polskich żeglarzy. Galeon rósł za nimi, potężniał, okrywał się coraz to

¹⁾ Kierunku, p. Przyp.

²⁾ Ściany, p. Przyp.

³⁾ Zwrócić ster na lewo. Komenda.

nowemi płachtami żagielnemi. Szwedzki wieloryb śnać uwziął się połknąć polską płótkę.

Przemokły do nitki, choć tkwił w woskowanej opończy, Grześ Fafuła szturchnął w bok kolegę i zaczękał zębami:

— Tego ja nie pojmuję, czego oni nie gruchną do nas z którego działa. Mogliby nas sięgnąć, nie?

— A mogliby — odburknął półgębkiem Hewelek.

— Więc czego nie strzelą?

— Nie boisz się, Grzesiu?

— O-wwa! Raz kozie śmierć. Gadaj, dlaczego nie strzelają?

— Nie głupi tak się na nieprzyjacielskich wodach oznajmiać.

Zbliżał się moment ostateczny. O dwa kabelty ¹⁾ za łupiną Szelfa nadbiegał szwedzki okręt. Na jego potężnej, wysokiej jak wieża rufie prężyla się dumnie bandera niebieska ze złotemi lwami. Szachownicą strzelnic z błyskającemi w nich ognistemi paszczami jeżył się Szwed ku małemu stateczkowi. Trzeba było albo uderzyć czołem przed nieprzyjacielską potęgą, albo iść na dno. Szelf był żywicielem licznej rodziny. Hewelek zajrzał w oczy staremu rybakowi i zawołał:

— Luzujmy ²⁾ żagle, Szelf. Nie mieszkając. Jeszcze kabelt, a z samego rozpędu nas zatopią. Luzuj! Luzuj wszystko!

Stary Szelf poważnie kiwnął głową. Targnął

¹⁾ Kabelt — 0,1 mili morskiej, t. j. 185 metrów.

²⁾ Luzować — zwijać żagle.

za halslinę¹⁾). Wielki żagiel opadł. Po chwili He-
welek zwolnił fok i kliwry²⁾). I patrzyli ku Szwe-
dom z zapartym oddechem.

¹⁾ Lina, którą kieruje się żagiel.

²⁾ Trójkątne żagle na dziobie.

III.

Miedzy męzami słusznej tuszy, stojącymi w krwawych blaskach zorzy wieczornej na najwyższej tylnej galerji galeonu, wyróżniał się wysoki, wspaniale przyodziany chudzielec. Czoło osłaniał mu szerokoskrzydły kapelusz, strojny w strusie pióra, spięte roziskrzonym trzęsieniem brylantowem. Atłasowy kaftan na nim lamowany był szerokim galonem, a u szyi zwisał mu łańcuch szczerozłoty. Prezentował się właśnie tak, jak orzeł pośród kań, sokółów, puhaczy i jastrzębi.

Pryz¹⁾ był nikczemny: mały bat jednomasztowy i sieć-pławница, z której jeszcze nie wybrano srebrnołuskiej ryby. Opodal stali jeńcy, uszykowani w szereg: stary rybak, obrosły jak pień i do capa podobny, jego zuchowaty chłopak i jeszcze dwóch jakichciś wyrostków. Ku ucieście załogi, ogorzałych i rozżartych wilków morskich, o twarzach, okolonych zarostem, pod jeńcami łydki się trzęsły, a najmłodszy z nich, pucołowaty, mazał się i pochlipywał. Jako że to było pierwsze na wodach nieprzyjaciel-

¹⁾ Zdobyty okręt lub statek handlowy.

skich spotkanie, choć przy był ladajaki, a przewaga, do której wstyd się przyznać, marynarze jednak z pojmania rybaka dobrze sobie wróżyli. Tylko dogadać się z jeńcami nie mogli nijak.

— Kto ty? — ryknął poraz trzeci chudy admirał i tupiąc w furji zatrzęsł starym Szelfem brutalnie. Szelf, choć nie ułomek, by pojrzeć na admirała, musiał zadzierać głowę. — Kaszuba som... kaszuba — bełkotał bezustanku.

Zakławszy paskudnie, admirał puścił jeńca, do którego wnet przyskoczył inny oficer, zwinnie, jasnowłosy i wróbelkowaty. Ów począł rybaka po głowie, po twarzy, po bokach obu pięściami okładać: — To cię nauczy, chamie — krzyczał — obojedencji i respektu ¹⁾ dla osób wysoko postawionych. Wiesz, kto cię pytać raczy? A nie wiesz? Nie wiesz! Co byś ty, mordo taka, wiedział? Sam, jego dostojność admirał Stjernskjöld! — pięści małego oficjera migły rybakowi przed oczami, ciosy sypały się jak grad, szczęściem, że nie było w nich nijakiej krzepy. Zdołał jednak Szelfowi-ojcu wargę rozciąć, co widząc Benyś z pomocą się porwał, wnet jednak dwóch rośłych drabów ręce mu wykręciło, aż zawył z bólu.

Jurek Hewel stał napozór spokojnie, chwiejąc się tylko w miarę kołysania rufy, lecz coraz mocniej zaciskał swe wąskie zsiniałe wargi. Ktoś ze świty szyderczym śmiechem wprost w oczy mu prychnął. Po raz pierwszy w życiu Hewelek doznał uczucia nienawiści. Zdało mu się, że jakaś siła go rozdyma, że zaraz pęknie jak granat, że tysiące młotów kuje

¹⁾ Posłuszeństwa i uszanowania.

mu w skronie, a małe światełka, istne skierki, wokół pobiegają, i czuł przejmująco, jak krew z policzków mu ucieka i jak strasznie blednie.

— Hej! — zawołał admirał i obejrzał się ku grupie marynarzy, stojących zdala z należnym respektem. — Jest tam kto, coby ten ich pogański język rozumiał?

Marynarze obejrzelili się na siebie, a potem ku swemu wodzowi zwrócili niechętnie oczy.

— Despekt ¹⁾, Wasza Ekselencjo, im czynisz — zarechotał gruby, jak fasa, personat, poprawiając kosztowne koronki u rękawa pięknego kamelotowego kabata, odziewającego go z dostojnictwem. — Toć nie świnię, żeby świński język rozumieli.

Widząc, że Grześ stał się purpurowy na twarzy i już gębę otwiera, Hewelek szturchnął go w bok tak silnie, że biedny bakałarz ugryzł się w przydługi język. Szczęściem nikt tej przyjacielskiej wymiany zdań nie zauważył.

— Moja rada — podjął gruby personat — czekać, aż na Mewiej Rewie spotkamy się z rybakiem Kunke. On już im języki rozwiąże.

— Ten pewnikiem lepiej od tych gburów pozycje polskie znał będzie — wtrącił ktoś półgębkiem.

— Dobra rada! — zagrzmiał admirał i, zwracając się do oficjera-wróbelka, dodał:

— Gdzie kwatermistrz?

— A ot, Wasza Dostojność! — i mały oficjer pokazał na człeka niskiego, przysadzistego, potwor-

¹⁾ Obrazę.

nie brzydkiego. Człek ten miał cerę oliwkową, rojącą się od brodawek, a nochał gruby i kraśny. Gdy kwatermistrz zdejmował przed dowódcą kapelusz, ruda czupryna zaigrała mu żywym ogniem, a po całej zarosłej fizjognomji poszły rdzawe blaski.

Rudzielec skłonił się niezręcznie, szeroko rozstawiając nogi, jakby im nie dowierzał. Był widać w strachu, że odmówią mu posłuszeństwa.

— A co, jesteś, opoju — mruknął niechętnie admirał.

— Do usług, Wasza Dostojność.

— Precz z tem ścierwem! — admirał wskazał na jeńców.

Widzieli jeńcy, że kwatermistrz na wrażej nawie niewielkie ma zachowanie. Funkcja kwatermistrzów na rozmaitych wojennych okrętach wielce się różniła. Jedni byli zwykłymi gospodarzami okrętu, rodzajem ochmistrzów, do których najwidoczniej ów niepokąźny Szwed się zaliczał, inni istotnymi kapitanami, nawigatorami-namiesnikami, którym całkowicie żeglowanie powierzano.

Kwatermistrz flagowca ¹⁾ szwedzkiego chwilę mruzczał pod nosem: — Hm... hm... hm... — jakby coś sumował. Już admirał odeń się odwracał, gdy rzekł nagle:

— Dopraszam się głosu, Wasza Dostojność.

— No!

— To jest tak... hm... hm... hm... absolutnie, Wasza Dostojność... wszystkie pomieszczenia... hm...

¹⁾ Okręt wojenny, na którym przebywa admirał.

hm... hm... cały galeon od kilu ¹⁾ do kluzy ²⁾ zapakowany żołnierstwem... abordażnikami... ³⁾ niby do desantu... hm... hm... hm... niema się gdzie obrócić, żeby nie potknąć... absolutnie... hm... hm... hm... tłok, ciżba, bryndza, kweres... gdzie ja ich podzieję, Wasza Dostojność!

Admirał nic nie odpowiedział, tylko krogulcze, blisko zsunięte jego oczy cisnęły takie błyskawice, że kwatermistrz począł się cofać, cofać, w mig przy jeńcach się znalazł i bez słowa starego Szelfa za rękaw pociągnął.

Wśród marynarzy ozwał się głośny śmiech.

Jeńcy, postępując gęsiego za kwatermistrzem, słyszeli na rufie wściekły raban. Admirał ryczał, jak ranny żubr, a odpowiadały mu lękliwe głosy. Wreszcie w krytej galerji dogonił ich mały oficer, ten sam, który tak zbił Szelfa. Dopadłszy kwatermistrza począł on krzyczeć:

— Piterson, jeśli jeszcze raz zagłęboko zajrzysz do dzbana i w takim stanie napatoczysz się admirałowi, odda cię pod sąd wojenny. I święty Boże nie pomoże!

— Hm... hm... hm... — rozpoczął mrukliwą swą tyradę kwatermistrz, — a gdzie ja tego draba i tych trzech wyrostków podzieję? Hę? Na ezelhoft ⁴⁾ wpakuję, czy co, proszę ja kogo... hm... hm... hm... chyba zamknę ich do lazaretu!

¹⁾ Belka w dnie okrętu, p. Przyp.

²⁾ Otwór do kotwicy na dziobie, p. Przyp.

³⁾ Żołnierzami, p. Przyp.

⁴⁾ Na maszcie, rodzaj gniazda, p. Przyp.

— A pakuj do lazaretu — zapiszczał z alteracji mały oficer i splunął przez strzelnicę. — Ej, warta!

Nadbiegło czterech żołnierzy piechoty morskiej z mosiężnemi na czapkach odznakami.

— Pomóc kwatermistrzowi — krzyknął do żołnierzy oficer — zamknąć ich w lazarecie!

— R...rozkaz.

— Zamknij ich aby dobrze — zwrócił się jeszcze oficer do kwatermistrza i odbiegł.

— Hm... hm... hm... — podjął kwatermistrz swoje mruzcando. — W gorącej wodzie kąpany... ot, co jest... hm... hm... hm...

Po długiem mitrężeniu, szukaniu, bełkocząc ciągle kwatermistrz znalazł klucz do lazaretu, a żołnierze wtrącili jeńców do mrocznego schowka z zakratowanym iluminatorem¹⁾, patrzącym w morze. Klucz zgrzytnął w zamku. Jeńcy byli sami.

Hewelek padł na jakieś kanciaste graty i mocno się potłukł. Wstał wreszcie, rozcierając krzyże.

— Toż to nie naród! — wybuchnął z długo hamowaną pasją Fafuła. — To bestje!

— A tyś im z siebie spectaculum²⁾ uczynił, mażąc się paskudnie.

— Ja? Ja becząć miałbym, jak baba? Ja?

— A kto? Miałeś łzy w oczach. Widziałem.

— To tak z wiatru. Mokro się robi w oczach.

— Eh... — Hewelek ręką machnął na taką ar-

¹⁾ Okno okrętowe w burcie.

²⁾ Widowisko.

gumentację. — Gadaj lepiej, co oni szwargotali między sobą? Piąte przez dziesiąte rozumiałem.

— Chcą się wywiedzieć o polskie pozycje. Rację mieli panowie na radzie, że o fortalicje chodzi.

— A co z tym Kunke?

— To szpieg, zdrajca. Mają go zastać na Mewiej Rewie. A gdy przybędzie, to już nam ponoć języki rozwiąże. Ani chybi będą nas przypiekali.

— A mnie się widzi, że nie — wtrącił rozsądnie Benyś, rozcierając zwolnione z więzów ręce — bo jak ten zdrajca przybędzie, to im doku mentnie wyłoży, co i jak, o polskiej sile, i kędy stoi. Niech się panicz nie boją, Może o nas zapomną. Niech panicz posłuchają lepiej, jaki tam w admirałskiej kajucie rwetes...

Rzeczywiście poprzez gródz¹⁾ dochodziły liczne głosy, to bliżej, to dalej. Fafuła przytknął ucho do grodzi, lecz rozróżnić mógł tylko oddzielne słowa. W każdym razie tyle się dowiedział, że o desancie debatowano, a również gdzie między Puckiem a Gdańskiem umocnienia ziemne zostały przeprowadzone i garnizony stały. Ale skądby mogło przyjść dla jeńców zbawienie, tego Fafuła się nie dowiedział. Zdało się, że wszystkiemu koniec nastał. Byli w mocy wroga.

Poprzez kratę w okienku lazaretu Hewelek zapatrzył się w glorię zachodu. Zaległa w owej okolicy nieba ławica chmur długa, wysoka, a płaska, niczem mur, za który schodził owal słońca amaran towy. Fala, rzekłbyś, uczyniwszy swoje, to jest za-

¹⁾ Ściana, p. w Przyp.

gnawszy dzielnych awanturników w moc nieprzyjaciół, skarłała, a może tylko skurczyła się, przywarowała na płyciźnie Mewiej Rewy, tam w gładź się rozlewając. Owóz po gładzi szły smugi matowego i lśniącego złota naprzemian; spływały one rdzą i fioletkami. Blaski na morzu przygasały, stając się coraz rdzawsze, zmierzchłe, gdy fale w brózdach podbiegały fioletowo. We wklęsłej czarze nieba wichrowata chmura rozrzucała karminowe pióra nad ciemnym murem, za który słońce się osunęło. Wachlarz tych piór stuczerwiennych począł się cofać z sedynowego nieba, a spopieliałe morze zasnuwało się odcieniem dojrzałej śliwy.

Wreszcie sierp pierwszej kwadry, bliskiej zachodu, począł sypać delikatne białe złoto na kursie nawy.

Glorja! Chwała Panu na wysokościach! — zdawała się śpiewać natura. A człowiek przez głupią chciwość i zaciekłość swoją wyciągał ku niebu pięść pancerną i groził zarówno ziemiom zbożnym, łącznym i żywicznym, będącym śpichrzem i drzewostanem Europy¹⁾, jak i samemu przyrodzonemu porządkowi rzeczy.

Rumor łańcucha kotwicznego, spuszczanego z kluzy, obudził młodego jeńca z zachwycenia, przeciął nić jego rozmyślań. W górze, na pokładzie krzyżowały się ostre komendy i grzmiąły szybkie, miarowe kroki. Plusnęła u dziobu spuszczone kotew²⁾ i galeon szarpnął się na niej.

¹⁾ Mowa o bogactwach Polski, p. w Przyp. pod Bogactwo Polski.

²⁾ Kotwica.

O spory kabelt, czy dwa, w gęstniejącym mroku, połączanym jeszcze przez księżyc na niknieniu, widniała ciemniejsza plama, znacząca płyciznę. Była to Mewia Rewa.

Słyszając za sobą rumor i brzęk żelaziwa, Hewelek obejrzał się w mroczną głąb lazaretu. To obaj rybacy byli czemś pilnie zajęci. Przewracali oni sprzęty, nagromadzone w lazarecie, który służył jednocześnie za skład narzędzi ciesielskich. Znaleźli małą, ostrą pilę.

— Nie tegom szukał — jęknął starszy Szelf. — Nijakiej tu niemasz broni.

— Gdyby zaś kratę w okienku wypiłować..? — ozwał się mrukliwie Benyś Szelf. — Do wody jeden skok, a gdy noc gęsta zapadnie, popłyniemy i zgruntujemy na redzie.

Hewelek poprobował kraty. Siedziała nie nazbyt mocno i niegłęboko w zmurszałym drzewie.

Iskierka nadziei zatliła w sercu małego wojaka, wnet ją jednak zniechęcony głos starego Szelfa ugasił.

— At dureń — mruknął stary rybak — na lodowej wodzie szlag wnet pływaka trafi. Ani zipnie. A co dopiero dzieciuchy takie.

— Dopłynęlibym jeno do owego światełka, co nisko na Rewie widać. Im mrok gęściejszy, tem jaśniejsze jest — wyjaśnił Hewelek.

— Oj, zwodne ono... strach i upiór tam siedzą, aby grzesznych ludzi wodziły, jakom już paniczom powiedział.

I zabobonny rybak odzegał się.

— Nie! — zawołał z ciemnego kąta Fafuła — to Kunke, szpieg, zdrajca, na którego tu czekają.

— Rychtyg — potwierdził Hewelek — latarnia nisko u burty spuszczone, światło przegląda się w po-
lewie wody.

— To i co? — odmrugnał niechętnie rybak.

— Zawszeć w pobliżu jest statek — wyjaśnił
prędko Hewelek. — A skoro jest, to gdyby się
z zamknięcia wydostać, a znienacka go dopaść!..
Kto wie? Szelf, z was krzepki chłop... Podpiłujcie
kratę!

— Ni... ni... — oponował rybak. — Z djabełm
w komitywę wchodzić nie będę...

— A przecie jest jeszcze i wasz bat — prze-
rwał mu Hewelek. — Toć go nie zatopili, jeno na
hol¹⁾ wzięli. Dopłyniemy. Linę przetniemy. I hajda!

— Ot panicz w gorącej wodzie kąpani. A tu
woda jak lód.

— Wolę utonąć! — drżącym głosem Grześ Fa-
fuła zawołał z kąta — niżli na spytki zostać wzięty,
a w męce Króla i Rzeczpospolitą zdradzić.

— I to racja! Szelf, piłuj! — przynaglił He-
welek.

Tym razem chrobot piły był całą odpowiedzią.

— Byle nie dosłyszeli — niecierpliwił się He-
welek.

— Z kajuty nie dosłyszają — ozwał się Fafuła
z uchem u grodzi. — Okrutny tam u nich harmi-
der. Spierają się wciąż.

— A z pokładu? — spytał Benys.

¹⁾ Na linę, p. Przyp.

— No, z pokładu, to jestem spokojny, że się nie obejrzą. Nasze okno pod krytą galerją wychodzi — wyjaśnił Hewelek.

— Szczury też hałasują, harcują i piszczą — dodał Fafuła, który, choć pływać nie umiał, gotów był na śmierć nawet, byle ujść z rąk nieprzyjacielskich.

Rzeczywiście w lazarecie roilo się od tych obmierzłych gryzoniów, że je od siebie precz płoszyć musieli. Stawały się coraz napastliwsze w miarę, jak noc gęstniała. Jednocześnie światło na Mewiej Rewie wydawało się nietylko jaśniejsze, ale i większe, a przeto podpływało ku galeonowi.

— Światło coraz bliżej — zameldował Hewelek.

Już i stary rybak widział, że nie upiór to, a zwykła latarnia, zwana huraganową, która od wiatru nie gaśnie; nisko ją u burty podwieszono, aby służyła za sygnał. Mocny był chłop z Szelfa, targnął tedy za podpiłowaną kratę i w ręku mu została. Illuminator wolny od żelaznej zapory ział kwadratowym otworem w pustkę morza. Był dość duży, by przezeń dorosły człowiek, nietęższy od Szelfa, mógł przeleźć, a cóż dopiero smukłe wyrostki. Po prawdzie, łatwiej to było powiedzieć, niżli zrobić, ale tonący i brzytwy się chwytła.

Tymczasem stateczek, oznajmijący się latarnią, podpłynął już do galeonu tak blisko, że stał się widoczny jego maszt i żagiel.

Niezwłocznie na okręcie rozebrzmiał okrzyk marynarza, stojącego na oku¹⁾):

¹⁾ Wartownika, p. w Przyp. pod Oko.

— Werdo ¹⁾?

Zgłuszona przez wiatr nadleciała odpowiedź:

— Swój, Kunke!

— A... zdrajca! — syknął stary Szelf jadownicie. — Bodaj cię... psi synu!

— I piorun takiego nie strzeli? — zdziwił się Benyś.

— Cichajcie! — rzucił mocnym szeptem Hewelek.

Jeńcy zamienili się w słup, wyteżyli wzrok w noc szmerliwą, na drogę podchodzącego światła.

— Jeżeli podejdzie z naszej strony... — mruknął Hewelek.

— To co? — odezwał się stojący obok Fafuła.

— Jeżeli przybiję do śródookręcia...²⁾ — znów podjął szeptem Hewelek.

— To co? To co?

— Och, ty kłapouchu... a mówią, że mądrej głowie dość dwie słowie.

Śnać na galeonie, oprócz bojowych latarni ³⁾, wszystkie światła były pogaszone, a luki i iluminatory szczelnie zasłonięte, bo w bezpośrednim pobliżu jego wysokiej burty panował ledwie półmrok niebieski. Podciągnąwszy się na rękach, Hewelek wytknął szybko głowę z okienka lazaretu. Wówczas dojrzał zarys rybackiego kutra i nieożaglony maszt, sterczący pod oknem na jakie dwa łokcie. Wraz ro-

¹⁾ Kto idzie?

²⁾ Śródookręcie — środkowa część okrętu.

³⁾ Latarnia potrzebna na wypadek bitwy, p. Przyp.

zebrzmiał ostry gwizd bosmańskiej ¹⁾ świstawki. Coś spadło z góry, z pokładu i uderzyło chłopca nieomal w czoło. Ledwie zdołał głowę cofnąć.

— O Jezu Chryste Nazareński! — tchnął Hewelek, rzekłbyś w wielkiej alteracji.

— Co to? — zawołali chóralnym szeptem pozostali jeńcy, dostrzegłszy w iluminatorze stopień z liny i dwa sznury po bokach.

— Toć to drabinka! — zapiał z kogutem w gardle Benyś.

— Stul pysk! — warknął na niego rodzic.

— O jej!

Jasne się stało nawet dla Fafuły, że Kunke przybił wprost pod nimi, a drabinę sznurową dziwnem zrządzeniem losu zrzucano mu poprzez okienko lazaretu.

— Teraz ani pary z gęby — szepnął do swoich Hewelek. Serce w piersi tłukło mu się z wielkiej emocji.

Jurek Hewel zawsze ogarniał sytuację w jeden moment. Przy grze i każdej zabawie komenda przechodziła do niego, rzekłbyś, siłą rzeczy. Koledzy nauczyli się polegać na nim. Odznaczał się zadziwiającą zimną krwią. Nie tracił głowy. Słowem urodził się na żołnierza.

Drabinka wyprężyla się. Ktoś piął się po niej ku górze. Nagle na szczeblu, widzialnym przez iluminator, ukazał się but, kolano w skórzniach. Jeszcze mignął obcas.

— Byle nie ściągli drabinki... — syknął Benyś.

¹⁾ Podoficer, p. Przyp.

Nad głowami jeńców po pokładzie zadudniły kroki.

Hewelek szturchnął w bok Benysia, który, zwinny jak kot, już był w okienku i już zawisł od dołu na sznurach. Drabinka wyprężyła się po raz wtóry i tak została. Znak, że Benyś dostał się szczęśliwie na kuter zdrajcy.

Z Fafułą był kłopot, ale Hewelek ze starym rybakiem pochwycili go, przepchnęli przez okienko, nogami naprzód, i puścili dopiero, gdy namacał nami szczebel.

— Złaz! — warknął mu do ucha Hewelek. — A jeśli się potkniesz, niezgrabo... jeśli piśniesz choć marne słowo, jeśli się wywalisz, zgubisz siebie i nas... Już! Złaz wolno — uważaj!

Biedak zawisł na ostatnim szczeblu drabinki i nogami zaczął rozpaczliwie szukać burty. Na szczęście Benyś go pochwycił, ściągnął i usadowił pod masztem kutra. Zaraz potem złazł Hewelek. Na końcu — stary Szelf. Ledwie znaleźli się na kutrze, ktoś z pokładu okrętu wlaźł na drabinkę. To marynarz szwedzki musiał wdół schodzić, by objąć pieczę nad jeżdżącym samowolnie kutrem zdrajcy. Wołano coś zgóry.

Było ciemno u burty, choć w pysk daj, bo Kunke, podjeżdżając, zgasił swoją latarnię. Ta przeorność, czy nieopatrzność zdrajcy ułatwiła zadanie dzielnym naszym awanturnikom.

— Co oni krzyczą? — spytał Hewelek, nachyliwszy się do ucha Fafuły.

— Krzyczą, czy jest tam kto, niby tu, na kutrze — odmrunknął Grześ zgorączkowany i drżący.

- Za remy! Są? — rzucił Hewelek.
— Tu mom... — odsapnął Benyś.
— I ja mom... — ozwał się głos starego Szelfa.
— Odpychaj... odpychaj od burty, żywo!

Tego rybakom nie trzeba było powtarzać. Całą siłą ramion naparli na wiosła. Zasyczała tylko pod dziobem kutra gładka fala, i, jak z procy, precz w noc ciemną wystrzelił. Dzięki Bogu, ciemności panowały egipskie, gdyż księżyc dawno znikł, a niebo gwiazdne chmurami się przesnuło.

W pobliżu dał się słyszeć głośny plusk, gwałtowne tłuczenie wody, prychnięcie, potem krzyk.

— A to co? — jęknął Fafuła.

— Marynarz, co był na drabince... i nie znalazł gdzie oprzeć nogi... w wodę się zwałił — gorączkowo objaśnił Hewelek. — Teraz będzie raban.

Wiosła w krzepkich dłoniach rybaków z warkotem i pluskiem cięły falę. Chrobotwały dulki. Umykali. Umykali...

— Człowiek za burtą! ¹⁾ — krzyknął ktoś z galeonu. I okrzyk alarmowy powtórzyły liczne głosy.

Chłopcy z lubością wciągali zimny wiatr. Sami nie rozumieli jeszcze, jak się to stało, że byli wolni. — Ba, wolni! — pomyślał Hewelek — lecz w bezpośrednim sąsiedztwie groźnej nawy. A na pokładach jej właśnie zabiegały światła i zewsząd posypały się okrzyki. Targnąwszy za węzeł hals-liny,

¹⁾ Okrzyk alarmowy, p. Przyp.

rządzącej grot-żaglem, chłopiec począł ją wyciągać i żagiel hyssować, gdy snop światła z odsłoniętej raptownie latarni zagrał po wodzie. — Zdechł pies! — pomyślał nasz zuch, wciągając żagiel co siły, bo zrozumiał, że na okręcie ucieczkę jeńców odgadli, że ich dostrzegli. Zaraz też odsłonięto więcej światła. Zaiskrzyły się dokoła czarne fale polewą ognia.

Wiatr uderzył w żagiel. Załopotał, wydał się. Byli pod wiatrem, dmącym wciąż od Południo-Zachodu. Biedz musieli na pełne morze. Wszystko jedno! Byle dalej! Byle w noc.

Na galeonie gwałt czynił się coraz okrutniejszy. Wzbiły się nad pokład gwizdy bosmańskich świsdawek. Doleciał okrzyk gromki. Hewelek słów nie rozumiał, lecz odgadł, że to oficer wzywa muszkieterów. Zaraz plunął ogniem i ołowiem. Skulił się.

Jakoż wzdłuż burty okrętu błysnęło, gruchnęło. Kule zastukały naokół i wzbiły bryzgi. Zupełnie jak świst kosa w zamachu. Hewelek nie wypuścił hals-liny, odwrócił tylko głowę na głośny jęk:

— O Jezu!

Jeden z rybaków wciągnął remy i pobiegł zwinnie na dziób do stawiania fok-żagla. Drugi rybak wiosłował wciąż jeszcze. On sam, Jurek Hewel, nie jęknął przecie. Był cały i zdrow. Ale Fafuła?

Zmacawszy jakiś ciemny kształt u swoich nóg, chłopiec cofnął rękę i podniósł ją do twarzy. Była lepka i mokra. — To krew — pomyślał. — Instynktownie umocował linę i cały się nachylił nad leżącym Fafułą. Był przerażony, wstrząśnięty do głębi.

O Szwedach zapomniał. Nie mogli ruszyć z kotwowiska ¹⁾). Przeszkadzała im Rewa.

Z ust Fafuły wyrывało się tchnienie. Hewelek z ulgą odetchnął: żyje jeszcze! Począł powtórnie obmacywać całą postać Grzesia. Jego ręce i nogi wahały się bezwładnie za każdym rozkołychem i przechyłem kutra. Ale były całe. Równie pierś, brzuch i szyja. Wreszcie dotknął głowy. Twarz była zalana krwią. Na brwiach, zmrożone chłodem, zastygały sople krwi. Dotknął czoła. Nienaruszone. Fafuła zabełkotał, targnął się i jęknął. Oddychał ciężko, chrapliwie. Jak przedtem Hewelek przyzywał ciemności, by ich czempředżej ukryły, tak teraz pragnął światła. Tylko przy świetle mógłby się ważyć na obejrzenie czaszki przyjaciela.

— Wiatr niesie nas na pełne morze! — zawołał od steru Denys.

— To nic — odpowiedział zdławionym głosem Hewelek. — Lawirujmy! Ku wschodowi, ku zachodowi i zaraz znów na wschód! Słyszycie, Szelf?

— Dyc słyszę — ozwał się w kompletnych ciemnościach głos z dziobu.

— Pójdźcie do liny! — rzucił szybko Hewelek. — Ustrzelili Fafułę. Sam muszę go opatrzyć.

— Czy żyje? — trwożliwie zapytał Denys.

— Żle z nim. Ale żyje.

Hewelek krzątał się koło przyjaciela. Najpierw odjął odbijacz ²⁾ od burty i pod głowę Grzesiowi podłożył. Potem w schowku na żagle zna-

¹⁾ Kotwowisko — miejsce, gdzie zarzucono kotwicę.

²⁾ Podkładka, p. Przyp.

lazłszy zapasową płachtę, dał ją na bandaże i Fafule głowę okręcał. Było to zadanie trudne, niebezpieczne przy nieobliczalnym ruchu i uskakiwaniu statku. Ale Jurek Hewel stłumił łkanie i zdobył się na przytomność umysłu. W krótkiej chwili zaszła w nim dziwna zmiana. Uczuł wielki ciężar, spadający mu na barki. On to wyciągnął przyjaciela na niebezpieczną wyprawę, pod kule. Jego to głową wszystko się działo. Sprawował faktyczne dowództwo. Jego złotem opłacone zostało ryzyko i usługi rybaków, którym przecie moralnie był obowiązany wynagrodzić wszelkie straty. O to mniejsza. Lecz co odpowie ojcu Fafuły?

Podobne jednak wyrzuty i konsyderacje powoli usuwały się na dalszy plan. Zamierzona na chybił trafił impreza niespodziewane dała rezultaty. Jak wojskowi mówią, weszli w kontakt z nieprzyjacielem. Znali jego chwilową pozycję i do pewnego stopnia jego zamierzenia. W planach Szwedów leżał desant, a przeto zapuszczają się głębiej w zatokę, czego pragnęli zarówno Dykman, jak i pułkownik Lanckoroński.

Rybacy żeglowali znów pewnie. Oczy, wytężone ku nikłym, siąpiącym z nieba blaskom, widziały dobrze. Słowo nie padło, lecz nieustannie wzrastała zawziętość przeciw Szwedom. Szelfowie nie pamiętali już o straconym kutrze, o życiodajnej sieci. Trzeba było admirała ostrzedz — admirała polskiego, wającego na Wisłoujściu¹⁾.

Oczyrna duszy zarówno syn patrycjusza gdań-

¹⁾ Forteca, p. Przyp.

skiego Hewela, jak i ubodzy rybacy widzieli nawy admirała Dykmana, ruszające ku wrogowi, — galeony groźne, najeżone działami, rojne od zbrojnego ludu, z rozwianemi na rufie banderami, na których było wyobrażone ramię z szablą wzniesioną¹⁾.

Mijały godziny, jak w śnie koszmarnym. Dziełili je między żeglowaniem, a łowieniem tchnienia rannego towarzysza broni. Wreszcie o mrocznym świetle ujrzeli śpiczastą wieżę Latarni. Na brandwachcie²⁾ zostawili rannego, przy którym został stary rybak.

Hewelek, mając za całą załogę Benysia Szelfa, w pół godziny potem dobijał do burty „Świętego Jerzego”, admirałskiego okrętu. Siostrzeńca admirała wszyscy znali, to też puścili go na trap³⁾. Nie opowiadając się nikomu, Hewelek skoczył na rufę, do kajuty admirała, i do drzwi począł się dobijać oboma pięściami.

— To ja, Jurek! — oznajmił się admirałowi.

— Jurek! na Boga, chłopcze! Gdzieżeś bywał?

— U Szweda, Wasza Dostojność. Cała szwedzka siła stoi zakotwiczona na Mewiej Rewie i do ruszenia wgląd zatoki się gotuje. Może już wyszła ku nam.

Ledwie te słowa padły, drzwi kajuty rozwarły się gwałtownie i pojawił się w nich człek krępy,

¹⁾ Ówczesna bandera polska, p. w Przyp. pod Bandera Polska.

²⁾ Dyżurny okręt wojenny w porcie.

³⁾ Schody, p. Przyp.

acz słusznego wzrostu, mocny w kościach, o szerokiej twarzy, zdobnej sumiastym wąsem i ze szpakowatemi z czoła zaczesanemi włosami. W skórzniach był tylko a koszuli, rozchełstanej na szerokiej piersi. Snać jeno przyległ nieco, alarmu się spodziewając. W jednej chwili zdał się jednak zupełnie rozbudzony. Minąwszy siostrzeńca, Dykman biegł żwawo galerją rufy na śródokręcie, gdzie u stóp wielkiego masztu czekał kanonjer z palną świecą¹⁾ u działa, „Żelaznym Wilkiem” zwanego. Admirał, wyrwawszy lont zaspanemu kanonjerowi, przytknął skrę do zapalu. Gromem i ogniem runął dźwięczny spiż, a dym w mgłę poranną się wmięszał.

Cały port tym lwim głosem w jeden moment został postawiony na nogi.

¹⁾ Lont, p. Przyp.

IV.

Admirał Arend Dykman potrafił trzymać w ryzach załogi swoje. Wszyscy byli na pokładach, „*ne mine excepto*”¹⁾, jako że naglej potrzeby od pewnego czasu się spodziewano. Jurek Hewel i Benyś Szelf, za zasługi odrazu mianowany jungą²⁾, znaleźli się w wirze przygotowań. Podziwiani, otoczeni glorią męstwa i powszechną sympatją, zdobyli sobie w oczach marynarzy prawo do wzięcia udziału w walnej rozprawie.

Na wszystkich dziesięciu polskich okrętach w mig ściągnięto trapy. Wrzasnęły trąby, oznajmijące pochód. Wachta kotwiczna ustąpiła miejsca wachcie pochodowej³⁾. Zawrzało, jak w ulu. Gdy żeglarze biegli na stanowiska, wzdłuż rej⁴⁾, u lin, służących do ich obracania, a zwanych „*brasami*”, u steru, u cum⁵⁾, które odrzucano, u zde-rzaków, które uprzątno, żołnierze stawali na gór-

¹⁾ Wszyscy bez wyjątku.

²⁾ Chłopiec okrętowy, p. Przyp.

³⁾ Inny porządek służby, p. w Przyp pod Wachta.

⁴⁾ Poprzeczne drągi na masztach, p. Przyp.

⁵⁾ Lina do mocowania z brzegu, p. Przyp.

nym pokładzie. Bez dłuższych ceremonij podniesiono banderę. Wszyscy ją ukłonem i gromkim okrzykiem powitali. Odmówiono także krótką modlitwę bez śpiewów. Ludzie klękali poprostu, gdzie się zdarzyło, a podczas i stojąc, lecz znać było po oczach, po wyrazie twarzy, że modlili się żarliwie i gotowali na Sąd Boży. W owe czasy dyscyplina okrętowa była prostsza. Obywano się bez wielkich ceremonij. Moderunku ¹⁾ również nie było jednolitego. Ludzie morscy nosili skórnie juchtowe, wpuszczone w wysokie buty, kaftany, przez które biegł rzemień do szerokiego pałasza z gardą w pochwie z lakierowanej skóry. Ponadto opasani byli szarfą z żaglowego płótna, za którą tkwiły puginały i pistolety. Zwykli marynarze mieli na głowie czapki, albo poprostu kaptury od woskowanych opończy, oficerowie — szerokoskrzydłe kapelusze. Poza tem oficerowie odznaczeni byli od gemejnow ²⁾ dostatniością stroju. Szarż na okręcie było mało, a przedział między szarżami, zarówno jak przedział między oficerami, a zwykłymi marynarzami — mniejszy, niż dzisiaj. Dykman sam dowodził swoim okrętem flagowym, „Świętym Jerzym”, choć był admirałem i naczelnym wodzem sił morskich Rzeczypospolitej Polskiej. Nie miał on przy swej osobie wspaniałej świty, któraby nosy jeno darła i rozgardjasz wносиła. Do funkcji ordynansowego oficjera zatrzymał małego Hewelka. Dykman bowiem był to człowiek w obejściu całkiem prosty i mówił swemu siostrzeńcowi poprostu:

¹⁾ Umundurowania, p. Przyp.

²⁾ Szeregowych.

— Skocz i powiedz kwatermistrzowi, aby wczasu otworzył komorę amunicyjną i załadował ładunki prochu do jaszczy. — Hewelek wtedy brał nogi za pas, zeskakiwał z pomostu rufy na śródokręcie, wynajdywał imci kwatermistrza Dystla w najgorszym tłoku i ciżbie, ciągnął go bez pardonu za rękaw, krzyczał mu rozkaz we włochate ucho i już powracał w te pędy, rad, że się przecie na coś przydać może.

Owego pamiętnego 28 listopada 1627 roku ranek był mglisty, horyzont niepewny, zasnuty tułaczem lepkiem, do fali przylegającym, to też admirał, skławszy dla zasady takową pogodę, ledwie z miejsca kotwicznego ruszyli, powiedział do Hewelka:

— Mgła, psiakrew! Znaczy z artylerji mały będzie pożytek, a Szwedy, mocniejsi w spiżę, tracą przez to swoją nad nami przewagę.

— Rychtyg, Wasza Dostojność. Wiatr zaś mamy niemal z samej rufy, a oni w zęby — brzmiała roztropna odpowiedź.

Admirał odmruknął z zadowoleniem, rzekł: byś niedźwiedź, który się do miodu leśnego dobiega. Potem dodał półgębkiem:

— To im lekko będzie uciekać, a nam gonić.

— Nie będzie admirał Stiernskjöld uciekał — odparł Hewelek. — Taki smok.

— Temci gorzej dla niego — rzekł admirał, a zoczywszy na górnym pokładzie pierwszego porucznika, krzyknął mu przez tubę: — Kurs Północna Północ ku Zachodowi! Każ waszmość podnieść po linji sygnał — kolumna torową wślad za „Królem

Dawidem", który niechaj się przed nas na dwa kabloty wysforuje! Reszta okrętów zachowa między sobą także interwały!

— Aj, Wasza Dostojność — odpowiedział porucznik Piechała — kurs Północna Północ ku Zachodowi. „Król Dawid” na przedzie. Kolumna torowa. Dwukablotowe interwały.

Odwróciwszy się do sygnalistów, porucznik począł sypać rozkazy.

Admirał uważnie spojrzał na swego ordynansowego, Hewelka:

— A nie wiesz, żółtodzióbie — spytał — ile strzelnic wzdłuż burty mają te szwedzkie galeony, któreś musiał widzieć?

— Mają po piętnaście.

— Wszystkie?

— Wszystkie, Wasza Dostojność.

— Słowem, po trzydzieści dział?

— I mnie się tak widzi.

— A może widziałeś które z dział na flagowcu Szweda?

— Tak, Wasza Dostojność. To dwunastofuntówki ¹⁾).

— Taki smyk! — mruknął admirał, opatrując uważnie i nastawiając perspektywę. — To dobrze. Ale nie myśl, kpie, żeś wszystkie rozumy pojadł. Zapamiętaj sobie sygnały ²⁾), które imć pan Piechała podnosić każe. To ci się przyda, dla instrukcji. I żebyś wiedział, że uciekając przed Szwedami, po-

¹⁾ Strzelały kulami wagi 12 funtów, p. Przyp.

²⁾ P. w Przyp. pod Sygnały,

stąpiłeś całkiem głupio. Każda flota uciekającego goni. To jest takie prawidło.

— Nie zgoniliby — pomyślał Hewelek — gdyby Szelfowie u sieci nie marudzili. Jakże jednak miałem im kazać, by sieć porzucili?

Bardzo to było roztropnie ze strony chłopca, że nic nie rzekł, bo i tak admirał spojrział surowo na swego młodocianego adjutanta.

— I nie depcz mi po piętach — dodał — jeśli cię nie wołam słowem, lub znakiem. A jeżeli do bitki przyjdzie, nie wysuwaj się przede mną, jeno pilnie zważaj na swoje i na moje zdrowie. Masz dbać o moje zdrowie, tak każą instrukcje, ale, mniemam, lepiej zrobisz na niebezpieczeństwa, mogące tobie zagrażać, dając baczenie. Gdy padnie rozkaz palby do muszkieterów lub abordażników, ty nie masz strzelać. I wogóle pal tylko w pysk nieprzyjacielowi, bo w bitwie morskiej cel jest zgoła niepewny; łatwiej chybić, niż trafić. Pokłady jeżdżą i skaczą. To, co było na równej linii, nagle znajdzie się pod tobą, u góry, lub zboku. Takoż, gdy odbębnią alarm bojowy, weźmiesz sobie rapier¹⁾ lekki, poręczny, którym mógłbyś się łatwo złożyć, łatwo odparować. I jeszcze to sobie zakonotuj, gołową się: wolno ci meldować mi, gdyby się coś działo nie wedle mego rozkazu, lecz to i wszystko. Niech ci do głowy nie przychodzi cokolwiek do rozkazu mego dodawać od siebie. Funkcja twoja ważna jest póty tylko, póki ja jestem przy dowództwie. Gdyby się mnie co przytrafiło...

¹⁾ Pałasz, p. Przyp.

— Nie daj Boże!

— Stul pysk! Ordynansowy nie gada niepytany. A na wypadek ze mną jakowejś złej przygody, wiedz, że dowództwo na całej flocie przechodzi nie do mojego najstarszego oficjera, lecz do następnego w starszeństwie kapitana okrętu, którym jest dowódca „Wodnika”, Herman Witt ¹⁾). Vale! ²⁾).

Admirał położył rękę na ramieniu chłopca, uściśnął go w ten dziwny koleżeński sposób, potem się cały w obserwacji zatopił. Napozór nic się nie działo. Nad manewrami okrętu czuwał kapitan żeglowski i kwatermistrz w jednej osobie, który u Dykmana całkiem inne, niżli u szwedzkiej ekscelencji miał zachowanie. Pan Dystel wraz z paru bosmanami gnał załogę od brasu do brasu, na reje i precz z nich, korygował sternika, baczył na kurs, na dystans i szybkość, słowem samodzielnie żeglował „Świętym Jerzym”. Minęli już dawno ujście Wisły, które znikło nagle jak przez mgłę połknięte. Po bakborcie ³⁾ mieli domki Brzeźna, dalej wgłąb lądu — klasztor Oliwski, a po sztymborku ⁴⁾ — puste morze. Mewy wokół polskiej kolumny torowej czyniły wrzask, jakby przeczuwały, co się święci. Starszy porucznik biegł, sprawdzając międzypokład ⁵⁾), pełen kanonjerów, i muszkiety na pokładzie.

Fala biegła niemal równo z admiralskim okrętem, lecz wzmagą się nieustannie. Na ile się dało

¹⁾ P. w Przyp. pod Witt.

²⁾ Żegnaj!

³⁾ Po lewej stronie, p. Przyp.

⁴⁾ Po prawej stronie, p. Przyp.

⁵⁾ P. Przyp.

okiem sięgnąć po zatoce, jeżyły się baranki¹⁾). Wi-
działność była mała tak, że ostatnie okręty polskiej
kolumny torowej rozplywały się we mgle. Hewelek
znał je wszystkie. Przed nimi szedł „Król Dawid”,
galeon 30-działowy, pod dowództwem sławnego
Szkota, Jakóba Murray’a²⁾). Za „Świętym Jerzym”,
również 30-działowym galeonem, ciągnęły nawy: „Bie-
gnący Jeleń”, którym dowodził Ellert Appelmann³⁾),
„Panna Wodna”, „Wodnik”, „Arka Noego”, „Sy-
rena”, „Tygrys”, „Biały Pies” i „Delfin”, wszystko
20-działowe okręty.

Wiała tęga bryza⁴⁾ od strony lądu, uderzając
z Sud-Ostu. Okręty polskie parły naprzód całą siłą
żagli. Piękny to był widok. Przez mroczne chmu-
ry słońce niewidoczne siało groty ostre, koloru cy-
tryny, które jednak tonęły w locie, w jasności perli-
stej. Syczały i lśniły flukta morskie, prute szere-
giem podjeżdżających i zapadających dziobów, a ma-
szty, okryte żaglami, ubarwione tu i owdzie jaskra-
wymi flagami, kreśliły w oćmie mglistej tajemnicze
znaki. Nad gałkami masztów mewy o krzywych,
szpilkowatych dziobach, szare i białe razem, skwirzy-
ły coś niepojętego w odwiecznym swym języku.

Admirał ku podziwowi Hewelka obracał w rę-
ku perspektywę, ale wcale się nią nie posługiwał.
Bo wzrok admirała leciał dalej, niżli mewa jednym
tchem doleci. Musiał coś dostrzec, gdyż nagle wark-
nął:

— Obwołaj tego syna psa i krowy morskiej

¹⁾ Fala, p. Przyp.

²⁾, ³⁾, ⁴⁾ P. Przyp.

na bocianiem gnieździe! Czy nie widzi żagla na traversie ¹⁾ Sobót? Ślepych na oko wysyłają czy co? Do stu tysięcy ton beczek ścierwa solonych, zaśmiertłych rekinów! No, ryknij tego na tego draba, Hewel! Cóżes zdębiał?

Hewelek, takiej elokwencji niezwyčajny, otwierał właśnie usta, by spełnić kłopotliwy rozkaz, gdy marynarz z masztu wywołał:

— Żagiel, ahój! Na Nordzie!

Admirał bardziej jeszcze poczerwieniał na twarzy.

— Niech połknę własną głowę — ryknął — jeślim na takiego kpa natknął się kiedy! Jeden żagiel widzi drab...

Przerwał admirałowi głos śpiewny, a młody, płynący skądś z olinowania grot-masztu ²⁾:

— Drugi żagiel, ahój! Na trzy palce od pierwszego ku Wschodowi!

— Tak ci jest! — zawołał admirał, obejrzawszy się za głosem. — A który to postrzegł?

— To junga Benedykt Szelf, Wasza Dostojność — ozwał się Hewelek, rad, że może nazwać przyjaciela, i palcem wskazał go na drablinie ³⁾, kęś się chłopak wdrapał.

— Junga Szelf na bocianie gniazdo! — rozkazał admirał. — A ty, krowi ogonie, złaż w te pędy i daj mu miejsce!

Tak załatwiwszy domową sprawę, admirał

¹⁾ P. Przyp.

²⁾ Wielki maszt, p. Przyp.

³⁾ Drabinka, p. Przyp.

przywarł okiem do lunety, którą na balustradzie galerji oparł.

— Tylko dwa galeony — mruknął — idą w awangardzie¹⁾). Coś jego szwedzka mość poczyta sobie z nami nadto po kawalersku. Hewelek! Biegaj po porucznika Piechałę!

— Aj, Wasza Dostojność! — i ordynansowy jak kulisty piorun z rufy wyprysnął.

Wnet pojawił się porucznik Piechała, wiodąc za sobą wartę sygnałową, złożoną z trębacza, dwóch doboszy i dwóch fajfrów, czem snąc w myśl admirała utrafił, bo został przyjęty nader łaskawie. Na oświadczenie admirała, że nieprzyjaciel w oczach, a przeto on zamierza wyciągnąć kolumnę torową w czołową²⁾), równając ze sztymborku na „Króla Dawida”, który w ten sposób na skrajnem skrzydle zostanie, porucznik zauważył, iż tym manewrem, to jest przez rozwinięcie całej polskiej siły, spłoszą niechybnie dwa czołowe galeony szwedzkie. Tak prawiąc, Piechała miał duszę na ramieniu, spodziewając się, że admirał Dykman wnet na nim cały swój morski alfabet wyprobuje. Lecz się omylił. Dykman wyjaśnił spokojnie, że polega na zdaniu swego ordynansowego oficjera, Hewelka, który, ze szwedzką dostojnością bliższą zawarłszy znajomość, ma ją za smoka z ogniem w paszczy, a taki żadną miarą uszu po sobie nie położy. Polecił tedy admirał wachtę sygnałową na rufie zostawić, a sygnał przejścia w kolumnę czołową podać niezwłocznie

¹⁾ Straż przednia.

²⁾ Okręty idą równolegle, p. Przyp. pod Kol. Czoł.

po linji. Wzleciały na lince sygnałowej fok-masztu¹⁾ „Świętego Jerzego” barwne sygnały, oznajmujące zmianę szyku, które pozostałe dziewięć polskich okrętów powtórzyło. „Święty Jerzy” zajął naprzód i porównał się z „Królem Dawidem”, utrzymując interwał dwukabeltowy, a reszta okrętów poszła za przykładem flagowca.

Ledwie jednak szyk został zmieniony, admirał rozpędzoną swoją eskadrę zdarł na miejscu, nakazując lec w dryf, co się uskuteczniło przez takie wykręcenie żagli, by jedne drugimi przeciwstawione okręt trzymały w miejscu. Na „Świętym Jerzym” padły stosowne rozkazy. Żeglarze skoczyli do brzoś, wyciągając je co sił. Inne okręty powtórzyły ten sam manewr. Flota straciła pęd.

Admirał Dykman trzymał na podorędziu przeciwko dwóm 400-tonowym galeonom szwedzkim swoje dwa galeony, tejsze siły i wyporności, a ponadto osiem naw pomniejszych, od dwustu do trzystu ton liczących. Flagowiec szwedzki, niezrażony tak oczywistą przewagą sił po nieprzyjacielskiej stronie, przeszedł na przeciwny ciąg²⁾ i podchodził ku eskadrze polskiej, mając za sobą w warcie rufowym³⁾ „Pelikana”, równie silny galeon. Odległość między przeciwnikami stale malała. Na horyzoncie ukazały się pozostałe galeony szwedzkie uszykowane w dwie kolumny torowe, po dwa okręty

¹⁾ Przedni maszt, p. Przyp.

²⁾ Tak, wy wiatr uderzał z przeciwnej strony, p. Przyp.

³⁾ Wślad za Pelikanem, p. w Przyp pod Wart rufowy.

w każdej. Szły one pełnemi żaglami, lecz, wiatr mając przeciwny, były jeszcze daleko. Na czele tej siły głównej Szweda żeglował galeon „Sonne”, którym dowodził kapitan Fořrat.

Dykmanowi zależało na tem, by siły szwedzkie nie zdążyły się przeciw niemu połączyć. Admirał postanowił skorzystać z ugrupowania przeciwnika. Wychylił się z ponad parapetu pomostu, nawisającego nad pokładem, i rozejrzał. Dostrzegłszy pierwszego porucznika na górnym pokładzie, rzucił mu rozkaz:

— Podnieść po linji sygnał: alarm bojowy!

— Aj, aj, Wasza Dostojność! — wyśpiewał starszy porucznik — alarm bojowy!

I na sygnałowej linie fok-maszty rozwinęła się czerwona, jak ogień, flaga.

Zaraz też zadudniły kroki i na pomost wbiegł jeden z chorążych. Przyskoczył on do trębacza i wielkim głosem zawołał:

— Warta sygnałowa: alarm bojowy! Warta sygnałowa z rufy precz!

Wrzasnęła surma, drobnym werblem zadudniły bębny, przeraźliwie zawtórowały im piszczałki. Chorąży gołym pałaszem łysnął i na czele warty ruszył szturmowym krokiem w obchód okrętu.

Hewelkowi włosy zjeżyły się na głowie, za gardło go coś ułapiło. Pojrzał ku nieprzyjacielskim czołowym okrętom, z tych zaś poczęły spadać niektóre płachty żagielne, co oznaczało, że przeciwnik sposobi się do bitwy, najmniejszy cel polskim działom prezentując. Flagowiec admirała szwedzkiego szedł tedy oględnie, najeżony ośmi rej, błyskając

wzdłuż burt spiżami paszcz ognistych. Wówczas chłopak zrozumiał, że najświetniejszą flotę świata mają przed sobą, flotę — wslawioną w wielkich bojach morskich: flotę, która biła i Duńczyków, i Niemców z hanzeatyckich grodów¹⁾, i która nam się dobrze dała we znaki za króla Zygmunta Augusta, gdy zdobywał on Inflanty²⁾. Rozumiał tedy, że wybiła wielka godzina w dziejach, następował termin ostateczny. Boć mimo pomyślnej kampanji 1627 roku, zdobycia Pucka, rozbicia Szwedów pod Hammersztynem, dywersji w Prusach Książęcych, gdyby admirałowi Niklasowi Stiernskjöldowi bramę Wisły sforsować się udało, zwycięstwa polskie w niwecz zostałyby obrócone, a pożar wojny w rdzennych ziemiach polskich wybuchnąłby niezawodnie. Jeszcze nie było przykładu w dziejach, nie licząc wojny kaperskiej³⁾, jakąśmy toczyli z Krzyżakami podczas krwawej kampanji trzydziestoletniej o Pomorze za Kazimierza Jagiellończyka i później przeciwko tym samym Szwedom za Zygmunta Augusta, ażeby lądowa, konna husarska Polska puklerzem broni morskiej przeciw tradycyjnie morskemu mocarstwu się zasłaniała.

Z kajuty admirałkiej pacholik wyniósł hełm, ocieniony strusiem piórem, półpancerz, złotem pisanym, łańcuch szczerozłoty, szeroki rapier abordażowy z gardą z ciągnionego żelaza, parę pistoletów, inkrustowanych perłową macicą — słowem ryszttunek

¹⁾ P. w Przyp. pod Hanza.

²⁾ Dziś Łotwa i Estonja, p. w Przyp. pod Inflanty.

³⁾ Korsarskiej, p. w Przyp. pod Kaper.

bojowy admirała. Przypomniało to Jurkowi, że za bronią ma się obejrzyć; to też zbiegł na pokład wśród okręcia i dostał się w odmet wściekłego wiru. Kto żyw biegł na swoje stanowisko. Mocowano wszystko i uprzątano, co tylko przy starciu mogłoby zawadzać. Rzut oka w międzypokład ukazał nieprzerwany szereg lśniących cielsk spiżowych, między którymi grodzie w mig zostały zniesione. U każdego działa stanęli kanonjerzy w szyku przepisowym. Ostatnie spiże zwalniano z więzów. Podsuwano jeszcze. Rozżarzano lonty. Nikłe dymki, snując się w krytej galerji międzypokładu, wypływały szaremi pasemkami przez strzelnice i na pokład. Powiało ostrym prochem. Wzdłuż okrętu biegli żołnierze piechoty morskiej, ciskając w regularnych odstępach wiązki broni palnej i siecznej, szable, krucice, topory, pistolety, rożki z prochem, półpiki, szczególnie przy abordażu poręczne. Okryci byli dostatecznie. Przeważnie mieli hełmy, kolczugi lub półpancerze. Hewelkowi mignął w oczach Benyś Szelf, ciągnący garłacz¹⁾ za sobą, wnet jednak stracił przyjaciela z oczu. Wszystko się działo w mgnieniu oka, ukazywało i nikło. Wysoki, dziobaty cieśla okrętowy, dźwigając młot, gwoździe, pakuły, wiadro ze smołą, wszystko słowem, co mogło służyć do uszczelniania, zstępował w lukę przednią na dno okrętu. Stary bosman, omszony siwym zarostem, niczem pień stuletni, ważył w ręku półpikę; zoczywszy Hewelka, istny ten wilk morski wetknął mu w rękę krucicę dwustrzałową, krzyknąwszy zbliska:

¹⁾ Muszkiet z szeroką lufą.

— Ej, chłopcze, podsyp aby prochu świeżego na panwie! ¹⁾).

Hewelkowi łzy w oczach się zakręciły z wdzięczności, że ktoś przecie o nim pomyślał. Wybrał on rapier lekki, jako mu zalecono, potknął się o berdysz, uskoczył w drabliny wielkiego masztu przed bandą uzbrojonych od stóp do głów abordażników, którzy na gwałt stawali w sprawie na wysokim baku ²⁾). O krok lub dwa muszkieterowie opatrywali swoje muszkiety. Niełatwe to było zadanie, bo proch rozsypany może być przyczyną nieszczęścia, toteż siwy bosman warczał na nich bezustanku. Hewelek radby wszystkiemu się przyjrzeć, ale obowiązek wzywał go na rufę.

Komendy jeszcze krzyżowały się małą chwilę, hałasy wybuchały, poczem wszystko ucichło. Nagle zapanowała cisza niemal grobowa, mącona tylko przybijaniem fal, gwizdem wichru, trzaskiem jakiejś nieposłusznej rei, którą na gwałt trzeba było mocować. I nastąpił napozór moment odrętwienia.

Chłopiec wytrzeszczył oczy na flagowiec nieprzyjacielski, nie mogąc pojąć, co Szwedowi każe we dwa galeony leżć na całą potęgę polską. Tuż przy nim admirał powiedział, rzekłbyś, bez związku:

— Na morzu miękko.

Czyż miało to oznaczać, że zdrowiej zawždy mieć okrętowi wolną przestrzeń morza poza sobą, a zatem pozycja wroga była lepsza? Przecie wiatr miał przeciwny!

¹⁾ P. Przyp. pod Panew.

²⁾ Nadbudówka na dziobie.

Wszystko, co się działo, przechodziło rozum wyrostka, lecz jasnem było dla starego wilka morskiego. Laikowi mogło się wydawać rzeczywiście, że Stiernskjöld popełnił błąd, gdy się od głównej siły swej odłączył. Ale Dykman odgadł swego przeciwnika. Cała siła eskadry polskiej w oczach Niklasa Stiernskjölda sprowadzała się do dwóch galeonów, „Króla Dawida” i „Świętego Jerzego”, na które dwa jego własne czołowe galeony w zupełności powinny były wystarczyć. Pozostałe polskie okręty traktował Szwed, jako pomocnicze. I nie bez racji, gdy się zważy, że siła eskadry sprowadza się do wartości bojowej najlepszych jej jednostek. Stiernskjöld liczył na swoją artylerję, na doskonale wyświczonych swoich kanonjerów. Suponował, że, mając wiatr w zęby, każdej chwili przed atakiem polskim zdoła na pełne morze uskoczyć. Zasypując okręty polskie gradem pocisków, podprowadzi je pod własną siłę główną i tam rozgromi. Tak był pewien swojej gry, tak się bał, by Polacy nie ułękli się, że wciąż dalej podnosił się na wiatr, podchodził do nieprzyjaciela.

Dykman uśmiechał się pod sumiastym wąsem. Uważał on, że plan Szweda jest dobry, lecz jego własny dużo lepszy. Bo nadto już ekselencja szwedzka sobie dufał, a jego, starego wygę morskiego, posponował. Skąd Stiernskjöld mógł mieć pewność, że on, Dykman, wda się z nim w bój artyleryjski? Czemużby nie miał spaść na swego przeciwnika z wiatrem, właśnie, jako orzeł na upatrzoną zdobycz spada?

— Bitny i doświadczony żołnierz z waści — mruknął Dykman pod wąsem, właśnie jakby miał

Stiernskjölda przed sobą — ale kto z nas lepszym jest strategiem, to się jeszcze pokaże.

Na pomost rufy ściągnęli wszyscy starsi oficerowie, wśród których był i kapitan żaglowy Dystel. Do niego podszedł admirał i rzekł krótko:

— Po pierwszej salwie rzucisz waść żeglarzy do brasów, piorunem obrócisz żagle na wiatr, hyssując wszystko!

Okręty polskie szły w pogotowiu bojowym: „Król Dawid” na skrajnem lewem skrzydle, „Święty Jerzy” naprzeciw flagowca szwedzkiego, dalej „Biegący Jeleń”, „Panna Wodna”... Dystans między wrogimi siłami zmalał do mili, do trzech czwartych, do pół mili. Widać było drapieżny dziób flagowca szwedzkiego poprzez mglistość perłową, aż nagle galeon począł się burtą rozwijać, jak zawsze postępuje okręt wojenny, gdy się do salwy gotuje. Polski admirał jednak uprzedził Szweda. Przeciągły stentorowy głos Dykmana ostrzegł wszystkich.

— Lewo na burt!

— Aj, lewo na burt, Wasza Dostojność! — odpowiedział natychmiast sternik.

Dość było wiatru, aby zwrotu burtą w jeden moment dokonać.

— Kanonjerzy, baczność! — wielkim bitewnym głosem skomenderował admirał. — Ognia lewą burtą! Salwa! Nawprost! Lewa burta... Pal!

Hewelek chwycił się poręczy jeszcze w porę. Ażeby jedno słowo wywołać mogło taki skutek! Cały okręt zatoczył się, jak pijany. Najpierw ogarnął ich blask czerwony, potem kłębamii dymu świat się

przesłonił. Piętnaście dwunasto-funtowych dział ryknęło jednym głosem, zatykając uszy załodze.

Bój był rozpoczęty.

Skróś dzwonienie w uszach Hewelek słyszał następną komendę admirała:

— Żeglarze za brasy! W żagle!

Dzwoniącą ciszę po salwie przeszły skrzypy rej, obracanych na wiatr, do pierwotnej pozycji. Oćmę zgęściły jeszcze cienie od ogromnych płacht żagielnych, opadających z trzaskiem wdół. Wicher zawył, natrafiwszy na opór wszystkich żagli okrętu, który wyraźnie skoczył wprzód, nabierając pędu z każdą chwilą. Zwiało dymy. Ukazała się nawa szwedzka właśnie w moment, gdy we wszystkich jej strzelnicach prawej burty, ku Polakom zwróconej, błysnął czerwony ogień. Nie zdążył dolecieć grom tej salwy, gdy napowietrzna furja uderzyła w „Świętego Jerzego”. Kanonjerzy szwedzcy trafili, trochę zawysoko wprawdzie, szkodząc głównie żaglom i zmniejszając siłę nośną polskiego flagowca.

Z wysokości, z przeraźliwym gwizdem i gruchotem posypały się bloki, linki, ucięte, jak nożem, reje, drzazgi i żelaziwo. Runęło. To górna reja fok-masztu, roztrąciwszy po drodze, co na drodze jej stało, przeszła w tej chwili pokład kasztelu¹⁾ i utkwiała w rozbitym pokładzie baku, zupełnie, jak ogromny dziryt. Kilka postaci z mrozącym krew w żyłach krzykiem spadało od rei do rei, kilka widniało bezwładnych, rozplaszczonych na śródokręciu. Pierwsze ofiary w ludziach. W burcie śródokręcia wid-

¹⁾ Nadbudówka,

niała dziura wielka, ziejąca, na szczęście nad linią wodną.

Hewelek zwrócił oczy ku polu bitwy. Między ławicą dymów, które „Święty Jerzy” pozostawił za sobą, a drugim galeonem szwedzkim, „Pelikanem”, żeglował objęty obręczą dymu szwedzki flagowiec. Stanowił on, jakby wierzchołek trójkąta, którego dwoma pozostałymi wierzchołkami były polskie okręty: „Święty Jerzy” i „Panna Wodna”, również ruszona z szyku eskadry i podchodząca pełnemi żaglami ku Szwedowi. W następnej chwili cały obraz znikł, gdyż „Święty Jerzy” zanurzył się dziobem w kłęby dymu, zbałwanione dokoła szwedzkiego flagowca, i w tej samej chwili rozebrzmiał jak dzwon głos admirała Dykmana:

— Za broń! Z bosakami na bak! Na pokład — wszystkie ręce!

Chłopcu zaświdrował w uszach nieustanny gwizd bosmańskich świstawek. Przez duszącą zasłonę dymów dostrzegął rój ludzki, wysypujący się ze wsząd. Sypali się z masztów, wypadali z międzypokładów, hurmem, hurmem! Wymachiwali szablami, dźwigali broń palną. Rzęsisty ogień muszkietowy, bezładny, nieustannym trzaskiem pokrywał wszelkie dźwięki, głużył komendy. W rozgardjaszu, w wiercącym krzyku, w polotnych pasmach dymu mało co dało się rozeznąć. O staję, o trzy kabelty, dwa, o kabelt błyskały nieustannie światelka i sypał się stamtąd grad śpiewających cienko, postukujących kul. Istny grad śmierci. Kule stokroć jaadowitsze od działowych pocisków dotkliwe w szeregach polskich czyniły szkody, bo już załogę całą

trzeba było ruszyć z ukrycia. Ważny był pierwszy impet, skoro się szło na abordaż. Stuk kul, jęki, ryki wściekłości, pomsty zlewały się w jeden niesamowity skowyt. Oto czarny, upiorny zrąb, wynurzył się z prawej burty. Oto nastąpił wstrząs, jakby pod nogi runęła niewidzialna kłoda. Łomot. Przechył. I znowu łomot. I nagle — pełno pancerzy opodał, błyszczących rapierów, luf, dzid, hełmów. Polski okrzyk bitewny: — Bij! — zmieszał się z przejmującym szwedzkim, skandynawskim: — Uu... huu! Bu...hu! — i z niemieckim ostrem wzywaniem — Gott mit uns!

Poryw furji bojowej. Tupot niezliczonych nóg. Dźwięk stali, dzwoniącej po stali. Palba bezładna z krótkiej i długiej broni. Zupełnie, jak gdyby kto darł i darł bez końca niewidzialną płachtę, darł na paździerze. Rozkrzyczaną gardziel zapychał dławiący dym siarką, saletrą i sadzą. Cała bitwa, rzekłbyś, odbywała się w piekielnym kotle. A tuż obok za krawędzią ognistego kotła, czyhał Neptun. Kto się potknął, źle skok obliczył, kogo przeciwnik zepchnął, ten walił się za burtę i znikał z pluskiem w lodowatych objęciach drugiego wrogiego żywiołu. Na lądzie jest gdzie uciekać, na morzu nie masz.

Już nikt nie wiedział nietylko, co się u nieprzyjaciela dzieje, ale i na własnym okręcie. Admirał Dykman nie wiedział również.

Największą troską dowódcy przy abordażu było, aby burtę nieprzyjaciela dobrze bosakami zaczępiono i aby okrętów nie rozniosła fala. Najgłośniejsze krzykane słowa, najpotężniejszy głos ginął w tumulte bitewnym, to też admirał musiał sam pośpieszyć

na dziób i pilnować, by bukszpryty¹⁾ walczących okrętów dobrze związane. Ale obawa admirała Dykmana okazała się płonna. Na baku szwedzkiego galeonu wrzała bitwa. Niedarmo „Święty Jerzy” parł całą siłą żagli. Mając wiatr z rufy, pchał on przed sobą galeon szwedzki, co powiązanie okrętów znacznie ułatwiło.

Zwycięstwo zależało tedy od siły natarcia, co widząc, admirał Dykman, jak prosty żołnierz, z rapierem w ręku w bój się wmieszał. Na widok dowódcy Polacy podnieśli okrutny krzyk i ze zdwojoną furją wpadli na Szweda. Parskając na podobieństwo dzikiego kota, skoczył za admirałem Hewelek. Wbrew ostrzeżeniu z obu łuf krucicy zdążył on już wypalić i parł naprzód, błyskając szabelką, nie mógł jednak bezpośrednio z nieprzyjacielem się zetknąć, bo mu zastęp walczących polskich marynarzy przeszkadzał. Chłopiec wysokie miał mniemanie o odwadze swoich, które znalazło całkowicie potwierdzenie. Przekonają się narody — myślał z wielką dumą syn gdańskiego kupca — że i na morzu ma Polska dzielnych rycerzy. Szwedzi, racja, walczyli, jak dobre pacholki, nie czyniąc wstydu tradycji znakomitej swojej piechoty. Ale wystrzelawszy muszkiety, w walce wręcz, gdzie im tam było się z Polakami mierzyć? Szczególnie parł ich przed sobą porucznik Piechała z garścią starszyny marynarskiej, z bosmanami i matami²⁾, walczącymi najróżniejszą bronią, ćwieków żagielnych nie wyłączając. Walczyło

¹⁾ Rodzaj ostrogi na dziobie, p. Przyp.

²⁾ Podoficer, p. Przyp.

tam również kilku szlachty pruskiej i pomorskiej, którzy, w sztuce szermierskiej biegli, wśród Szwedów czynili groźne wyrwy. Ale i ze strony polskiej „trup padał gęsty”, i prawdziwem szczęściem było dla Hewelka, że do wroga nie miał dostępu.

Flagowiec szwedzki wioził kompanję piechoty, przeznaczonej na desant; piechurzy byli, prócz muszkietów, zbrojni w berdysze¹⁾ dla obrony przed jazdą. Lecz w tłoku i przy chwiejbie z berdyszy mały był pożytek, a muszkiety zostały dawno wystrzelane. Trzymali się jednak dzielnie, póki jakiś polski junga okrętowy nie załazł im zboku i z garłacza nie palnął. Od tego strzału siekańcami cała flank szwedzka w drgającą kupę ciał się zamieniła. Kilkunastu ocalałych Szwedów skoczyło wdół, z wysokiego dziobu, który w ręku polskim pozostał.

Hewelek obejrzał się za chłopakiem, który w porę cyngla ruszył, i postrzegł z radością, iż był to Benedykt Szelf we własnej niepozornej osobie, zdrów i cały. Podbiegł tedy do przyjaciela, aby się z nim więcej w dalszej bitwie nie rozłączać.

Dziób był w ręku sposoczonych, zziąpanych marynarzy polskich, lecz na śródokręciu stali murem muszkietierowie szwedzcy, śląc ku nim salwę za salwą. Polacy warowali za każdym pachołkiem²⁾, za przednim masztem, za szalupami i kistami³⁾ do sprzętu, leżeli napłask na deskach baku, odstrzelując się słabo z pistoletów. Na „Świętym Jerzym”

¹⁾ Ostrze na rękojeści.

²⁾ Słupiek, p. Przyp.

³⁾ Skrzynia.

nikt niemal nie pozostał, abordażnicy nie mogli tedy prażyć Szwedów z boku. Sedno oporu wroga tkwiło u wielkiego masztu, gdzie stał admirał Stiernskjöld, cały w złocie i krwi, gdyż polska kula działowa rękę mu urwała.

Właśnie admirał Dykman wyrzwał ostrożnie z poza fok-masztu. Oczy obu przeciwników spotkały się. Przytroczony linką wpół ciała do pnia masztu, Stiernskjöld konał. Śmiertelnie blady podobny był do upiora.

I mimo wszystko ważyła się szala zwycięstwa. Nikt lepiej od Dykmana nie wiedział tego. Polska załoga stopniała, szczególnie od muszkietowego ognia. Szwedom wystarczyło rzucić swoich muszkieterów w żagle i z drablin wielkiego masztu otworzyć ogień na Polaków, aby ich, jak niepysznych, spędzić ze swojego dziobu.

Admirał Dykman nie widział pola bitwy. Kłębiły się wokół i snuły szare, widmowe dymy, które wciąż nowemi się podsycaly, na żaglach obu okrętów wspierały, tak że wiatr nie mógł ich przepędzić. Tedy dziw wielki naprzemian ze strachem poczęły walczyć w sercu polskiego dowódcy, gdy ujrzał, że na znak szwedzkiego admirała pacholek z zapalonym lontem skoczył w stronę komór prochowych. Dykman zwątpił nietylko w ocalenie własnych ludzi, ale i w zwycięstwo. — Wystarczy — myślał — by ten pachół dobiegł do prochowni, a wiktoria ¹⁾ nam się wymknie. A przecie nic nie zmuszało Stiernskjölda do tak desperackiego czynu!

¹⁾ Zwycięstwo.

Dykman na szczęście się mylił. W tym ostatecznym terminie przyszedł mu niespodziewany sukces. Tak blisko buchnął płomień, że admirał sądził, że już wylatują w powietrze. To „Panna Wodna”, podszedłszy do szwedzkiego flagowca wpół burty, salwą omiotła jego śródokręcie.

Skutek salwy był straszny. Ciała marynarzy i piechurów szwedzkich leżały kupami. Stiernskjöld zwiśł na swej linie u masztu. Rzuciwszy okiem ku prochowni, admirał Dykman ujrzał u samej jej luki trupa posłańca Stiernskjöldowego. Leżało w kałuży krwi ciało z urwaną głową, ze zgasłym lontem w ręce. Poderwawszy swoich, admirał biegł ku schodni na śródokręcie Szweda. Naprzeciw zastępowi polskiemu wysypali się Szwedzi z kapitanem Stouardem na czele. Znow skry się posypały ze skrzyżowanych broni, zagrzmiały z obu stron pojedyncze strzały. Parci, cięci, spychani do morza Szwedzi, stawali dzielnie, ale bez powodzenia. Złamani w jednym miejscu, formowali się wnet w drugim. Formowali się bezustanku i walczyli uparcie.

Zlany potem, zbryzgany krwią, czarny od prochu, dziko tocząc oczyma, obracał się Hewelek w tem kotłowisku, choć raz ledwie miał sposobność odbić cios, gdy się któremuś z wrogów podwinał. Natomiast nóż w ręku Benysia oddawał mu daleko większe usługi. Byli o krok od straszego admirała Siernskjölda, patrzącego na nich bielmem oczu. Naokoło zabici szczyrzyli zęby. Dalej wgłąb okrętu zgrzytała broń, jęczeli i rżęzili ranni, sapały spracowane piersi. Wreszcie obu chłopców ogarnęło przeżenie. Od oślizgłego pokładu wiało grozą.

— Poco się jeszcze te Szwedy bijom? — zawołał Benyś. Hewelek bez słowa wskazał powiewającą na rufie szwedzką banderę.

— Poczekaj! — krzyknął Benyś i skoczył w drabliny wielkiego masztu.

Dłuższą chwilę Hewelek, sam sobie pozostawiony, błdził wzrokiem po opustoszożonym galeonie. Duszący surowy opar wisiał nad pokładami, ani go nawet wiatr zwiać nie mógł. Zdarzały się na każdym kroku widoki, od których mdło się robiło i kłiewie. Nawet krzyk triumfu, rozsadzający chłopcu serce, nie mógł stłumić przeogromnej żalości, cisnącej do oczu łzy wobec ohydy pobjowiska.

— Oto są owoce nierozumnej pychy, chciwości i zatwardziałości ludzkiej — mówił sobie przeżony chłopak. Sumienie jego było jednak czyste. — Spotkała ich zasłużona kara — ciągnął w duchu koszmarny dyskurs. — Krew niewinnie przelana wzywa o pomstę do nieba, a Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. — I wzdrygnął się na wspomnienie niewinnej krwi Fafuły, od której tak niedawno ręce mu się lepiły. Wówczas odwrócił oczy od otaczającej go mizerji ku masztom z rejami, sterczącymi we wszystkich kierunkach. Ujrzał drobną postać, przedostającą się z wielkiej rei grot-masztu na reję bezan-masztu¹⁾). Cały we wzrok się zamienił. Postać pośród płataniny lin i rej, jak wśród pajęczyny, niedwuznacznie zmierzał do flag-liny²⁾), na której wielka błękitna bandera ze złotemi lwami powie-

¹⁾ Maszt tylny, p. Przyp.

²⁾ * Lina od bandery, p. Przyp.

wała nienaruszona. Jeszcze jeden napowietrzny skok drobnego ciała, oto wyciąga się ramię, oto szarpnęło za skraj sztandaru i sztandar znika. Przeszywający, triumfalny okrzyk doleciał z wysokości. Był to okrzyk Benysia Szelfa. Zdobył sztandar¹⁾. Bandera szwedzka — zdobyta.

Tumult bitewny przycichł. Potem ze wszech stron okrętu zaczęły dochodzić okrzyki — Pardon! Pardon!²⁾ — Pozostali przy życiu Szwedzi błagali o zmiłowanie. Poddawali się.

Flagowiec szwedzki został wzięty.

¹⁾ Historyczne.

²⁾ Łaski, p. Przyp.

V.

Hewełek podziwiał rezolucję Benedykta Szelfa. Poraz drugi mały Kaszuba odznaczył się pod okiem admirała Dykmana. Nie tego mu zazdrościł. Wychowany w murach miejskich zazdrościł wytrzymałości młodemu rybakowi, zahartowanemu od dziecka na morzu. Fatyga, czuwanie, wzruszenia ścinały z nóg Hewelka.

Bitwa nie zdawała się mieć końca. Flagowiec szwedzki przeszedł w ręce polskie bez poważniejszych uszkodzeń, to też admirał Dykman obsadził go połową swej zdatnej jeszcze do boju załogi. Rozporządzał on już sześćdziesięciu działami, bo Szwedzi swoich nie zdążyli zagwoździć¹⁾, miał natomiast nieliczną, osłabioną wpływem krwi załogę, to też mógł toczyć tylko bój artyleryjski, powierzwszy atakowanie wręcz innym jednostkom eskadry²⁾. Wszelkie plany jednak zostały pokrzyżowane przez dowódcę „Pelikana”, kapitana Fritza, którego zachowanie pewnie i dla samych Szwedów było nie-

¹⁾ P. Przyp.

²⁾ P. Przyp.

spodzianką. Niezwykła jego „przytomność umysłu” przeszła do historii.

„Pelikan” ruszył wprost na „Króla Dawida”, wytrzymał morderczy ogień polskiego galeonu, na który odpowiedział. Zdawało się, że, jak admirał Skiernskjöld uderzył na „Świętego Jerzego”, kapitan Fritz stoczy pojedynczy bój z „Królem Dawidem”. Ale nie!

Do tego momentu ustaliła się złośliwa, martwa fala ¹⁾). Okręty podjeżdżały gwałtownie, mimo słabego napozór wzburzenia morza, zapadały się rapidamente, kładły na burty, jakby niewidzialna pięść w zręby i kadłuby bębniła od dołu. Taka fala odbijała się fatalnie na celności ognia działowego, który rozgorzał dokoła.

Admirał Dykman obserwował pole bitwy z pokładu zdobytego flagowca szwedzkiego. Widział, że Fritz manewruje bardzo przemyślnie — po mistrzowsku wykorzystał on wiatr wpeł burty, aby przemknąć się koło „Króla Dawida”, i niezwykle szybko znalazł się po stronie zawietrznej ²⁾) „Świętego Jerzego”. Czyżby miał zamiar skartaczować słabą polską załogę na flagowcu polskim oraz zdobytym okręcie szwedzkim i rzucić na nie swych abordażników?

Jeśli Fritz taki rzeczywiście miał zamiar, to martwa fala spletała mu złośliwego figla. Salwa „Pelikana” poszła górą nad obu okrętami, które niespodzianie znikły szwedzkim kanonjerom, jakby się

¹⁾ P. Przyp.

²⁾ Od wiatru, p. Przyp.

w głąb morską zapadły. Chybiwszy, Szwedzi utracili odrazu wszelkie szanse.

„Biegnący Jeleń”, który gołemi rejami swemi zaczął „Pannę Wodną” tak nieszczęśliwie, że na zgórą pół godziny obie nawy zostały unieruchomione, zdołał się już odplątać. Ku „Pelikanowi” partryło ognistemi paszczami conajmniej pięć polskich okrętów. Niech lonty polskie spadną na zapalę¹⁾), a „Pelikan” zostanie rozerwany, rozbity na drzazgi i szczapy. Nie spadły jednak.

Kapitan Fritz dał dowód niezwyklej „przymotności umysłu”. Błękitna bandera „Pelikana” znikła i rozwiała się nad nim flaga biała.

„Pelikan” poddawał się.

Admirał Dykman przetarł oczy. Szwed poddawał się. To było do Szweda niepodobne. Wszelako biała chorągiew znaczy: poddaję się. Honor i ludzkość nakazują uderzającego w pokorę wroga oszczędzić. Dykman kazał podnieść sygnał: zaprzestać ognia!

Uczciwy stary żołnierz nie mógł uczynić inaczej. A przecie, gdyby wojował po barbarzyńsku, gdyby przejawiał tę zaciekłość, której dowody dał nieprzyjacieli...

Lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Na zmianę „Pelikanowi” podchodził, forsując żaglami, „Sonne”, czołowy galeon głównych sił szwedzkich. Admirał Dykman wydał rozkaz ruszyć na spotkanie „Sonne” całym szykiem, ogarniając poddającego się „Pelikana”. Ku niezmiernemu zdu-

¹⁾ Otwór do zapalania prochu, p. Przyp.

mieniu polskiego dowódcy „Pelikan” począł niedwuznacznie uciekać ku swoim, podając się na wiatr. Wycofywał się jednakże pod białą flagą. „Sonne” poszedł naprzód. W następnej chwili biała flaga z masztu „Pelikana” znikła, a na rufie, którą galeon ten był do szyku polskiego obrócony, rozwinęła się zpowrotem błękitna bandera.

Hewelek podbiegł do admirała, sądząc, że rażon apopleksją. Stał się czerwony na twarzy, żyły mu wystąpiły. Rzekłbyś — krew go zaleje, zadławi się, pęknie, jak granat. Wreszcie odzyskał mowę, aby wykrztusić: — Palcie do zdrajcy! Pal, kto w Boga wierzy! Pal!

Lecz było już zapóźno. Rufa „Pelikana” okryła się ogniem i dymem. Hewelek nie usłyszał grzmotu dział. Coś nim rzuciło o pokład tak, że utracił przytomność. Kiedy się ocknął, leżał u stóp masztu. W głowie mu szumiało, dygotał cały, był umazany krwią. Ale czyją? Nie własną, bo poruszył się i nie doznał bólu. Ani draśnięcia. Natomiast straszny widok miał przed oczyma. O dwa kroki od niego siedział na pokładzie admirał, podtrzymywany w tej pozycji przez jednego z chorążych, a gdzie powinny były być starego wojaka nogi, tam widniała jedna krwawa masa. Kula działowa urwała obie nogi Dykmanowi. Nie zdołał wyrzec słowa i w okropnych konwulsjach skonał.

Był. Niema. Przed chwilą na jedno jego skinięcie manewrowało, grzmiało, walczyło dziesięć okrętów. Miał w swojej mocy nawet wroga. Był tak silny, że mógł okazać łaskę znienawidzonemu nieprzyjacielowi. Dziw wielki ogarnia żołnierza, kie-

dy wódz poległ. Oficerowie na zdobytym okręcie poczęli biegać tam i sam, jakby tracili głowę. Dopiero bez rozkazu, któryś z marynarzy wdrapał się na szczyt wielkiego masztu, kędy długa, wąska flaga, oznaczająca obecność na okręcie naczelnego dowódcy wiła się bielą i czerwienią barw narodowych. I oto z pod gałki masztu wstęga owa zniknęła, a na jej miejscu rozwiała się czarna chorągiew.

Wszystkie okręty polskie były świadkami zdradzieckiego strzału. Widziano z nich, że coś fatalnego stało się na zdobytym szwedzkim galeonie, choć darmo silono się odgadnąć, co też wydarzyć się mogło. Zniknięcie flagi admirałkiej i czarna chorągiew powiedziały resztę. Nieludzki ryk przeleciał z pokładu na pokład.

Kapitan Fritz uczynił swoim najgorszą przysługę. Sam uszedł wprawdzie, ale zaciełość w serca polskie wstąpiła. O pardonowaniu nie mogło już być mowy.

Na wielkim maszcie „Wodnika” rozwiała się z kolei flaga admirałska. Kapitan Witt objął dowództwo.

Los „Sonne” był przesądzony. Każdy wiedział o tem w całej eskadrze polskiej. Zemsta była nakazem chwili, potrzebą serca każdego polskiego marynarza. Ostateczne zwycięstwo nad zdradzieckim wrogiem stało się pewne, cokolwiek miałyby kosztować w okrętach i ludziach.

Hewełek, dźwignąwszy się z trudem na nogi i oparłszy o burtę, śledził pilnie przebieg dalszej bitwy, a o krok poszarpane zwłoki jego wuja nakrywano polską banderą.

Na czele polskiego szyku, jak burza, niósł się „Wodnik”, na którym, jako na flagowcu, reszta okrętów miała się wzorować. Kapitan Witt na trzy salwy Szweda odpowiedział jedną tylko, jak się okazało, nader skuteczną, gdyż od kuli działowej dowódca „Sonne”, kapitan Forrat zginął. W kwadrans potem „Wodnik” i „Sonne” rufami się ze-stosowały. Dwukrotnie Szwedzi odtrącili szturm rozżartych Polaków, lecz za trzecim razem zostali zmie-ceni z pokładu. Marynarz polski, Simson, rodem Duńczyk, podciął olinowanie wielkiego masztu „Son-ne”, co widząc sternik szwedzki do komory na pro-chy skoczył. Potężny huk ogłosił obu walczącym stronom koniec „Sonne”, i okręt, buchnąwszy pło-mieniem, zniknął nazawsze.

„Pelikan” uchodził wraz z trzema pozostałe-mi galeonami szwedzkimi, a za nim pognały wszyst-kie lekkie nawy polskie: „Syrena”, „Tygrys”, „Biały Pies”, „Delfin”...

Hewelek nie brał udziału w pościgu. Okrutna żałość szarpała jego serce, a w kontuzjowanej gło-wie były mu dzwony. Z pomocą Benysia zalaźł do kajuty admirałskiej i w koi¹⁾ zabitego Stiernskjölda się rozciągnął. Niezwłocznie też zapadł w sen głę-boki, w istną otchłań, pełną widziadeł. Był to sen przedziwny, jakby most między przeszłością, a przy-szłością. Kiedy się obudził, był pewien, że prześnił lat trzysta.

Nie chciało mu się wierzyć, że ogląda na własne oczy dobrego druha swego, Benysia Szelfa. Długo

¹⁾ Łóżko.

przewracał się w koi, zanim pojawił gdzie jest: w kajuście admirała Stiernskjolda na zdobytym okręcie.

— Benys?.. To ty? — zapytał wreszcie Hewelek, z wysiłkiem otwierając oczy na światło słoneczne, które, wpadając przez krągły iluminator, regularny czerwony krąg rysowało na grodzi.

— A któżby? — odpowiedział mu niespokojny głos przyjaciela, który się weń bacznie wpatrywał. Tak! To pocziwe oczy i owietrzona długa twarz młodszego Szelfa. Hewelek nie zdziwił się, bo, odbywszy tak daleką, tak męczącą i niezwykłą wędrówkę, jaką przed chwilą jeszcze odbywał, nie dziwił się już niczemu.

— Okrutnie się nam pan Hewelek na koi ciskał — podjął Benys — musi być, panu Hewelkowi jakoweś koszmarnie sny się sniły.

— Toś w sedno trafił, miły bracie — odpowiedział Jurek Hewel. — Że koszmarny, to koszmarny był sen. Śniło mi się, żem żeglował lat trzysta, lat trzysta krążyłem po morzu...

— Aleć niechże się pan Hewelek rozczechają! — potrząsnął Jurka za ramię Benys. — Sen mara, Bóg wiara. Galańcie żeśmy bitwę wygrali.

— Szczera prawda, ale mnie się śniło — powrócił do swych wizyj Jurek Hewel — żem się tłukł po morzu w bursztynowym okręcie. Cały wyrzeźbiony cudnie był w różne posągi, drzewa, ptaki i bestje, zupełnie jak żywe, a słońce i księżyc przez jego burty i grodzie przeświecały. Widać też było dno przez pokład, podczas cudaczne morskie ryby. Jedna z nich szczególnie, którą djabłem morskim tam nazywali dla jej szpetoty...

Jurek Hewel urwał, nie znajdując słów, aby odmalować przeżyte dziwy, jak to zwykle przy powrocie z krainy snu bywa. Szelf milczał strapiiony, bojąc się o rozum przyjaciela.

— I tym okrętem — podjął Hewel — dowodził w chwale zgasły wujek mój, admirał Arend Dykman.

— Cześć jego pamięci! — zawołał Benyś, rad, iż przecież znalazło się coś do sensu w dywagacjach chorego.

— A jungą okrętowym był Grześ Fafuła, załogą bursztynowego okrętu — wszyscy, którzy poginęli w bitwie. Żeglowaliśmy i żeglowaliśmy, a do brzegu przybić nie mogli, bo ledwieśmy go zoczyli, już admirał, który miał nóg miał dwie bursztynowe kule, na przeciwny kurs przechodzić przykazywał... Z początku to mi się wydawało niedorzeczne i niemożliwe, ale powoli przywykłem. Gadki wprost nie do wiary krążyły między załogą. Kiedym się skarżył, to mi mówiono, żeśmy szczęśliwsi od tych, którzy na brzegu pozostali. Mówiono, że Polska ginie.. Że przyszedł najazd Szwedów... a potem, choć go Rzeczpospolita odparła, to całkiem o swoją flotę i o morskie sprawy dbać przestała... Że choć odnosi jeszcze wiktoryje, rychło patrzeć jej końca... Wreszcie przyszły najazdy gorsze od szwedzkiego, moskiewskie, niemieckie... Wkońcu uderzyła w nas wieść nieprawdopodobna i straszna, że Polskę rozdarto na trzy części, że istnieć przestała, a nasze rodzinne miasto całkiem niemieckie się stało...

— Jezus Marja! — jęknął Szelf, mimowoli

porwany opowieścią, taki ból bił z głosu Jurka i taka prawda.

— Tego ci, Benyś, nie potrafię dokumentnie wyłożyć, co się w Rzeczypospolitej, czyli na owych ziemiach między Niemcem a Moskwicinem działo — dusiła mnie zmora. Pod koniec trzeciego stulecia, tom iście był, jak zdrewniały. Łzy już człowiek wszystkie wypłakał i nic go już nie chciało się imać. Byle dalej! Byle dalej! Raptem poczęły nadchodzić wieści nad podziw szczęśliwe, ale im nikt już nie dawał wiary. Nadzieja w sercach była wypalona, wyrwana z korzeniami... Aż tu pewnego razu w noc stoimy z Fafułą na oku, to znaczy ja stoję na oku, a Grześ, krótkowidz, tylko dla kompanji. Morze iście cudne. Księżyc piękny w pełni, od którego po wschodniej stronie leży na granatowem morzu szereg srebrzysta. W owym tumanie srebrnym ja rozróżniam isierki. Światła są! Mówię o tem Fafule, on wierzyć nie chce. I raptem słyszemy za sobą kuszyk-kuszyk po baku. Idzie admirał. Na mnie skóra ścierpła, bo ledwie wydzwonię światła, każe zawracać. Admirał przystaje i mówi:

— A co, Jurek! Czego nie dzwonisz? Światła są!

— A są, Wasza Dostojność, — odpowiadam prawdę, bo muszę.

— To już Polska! — rzecze admirał z mocą.

Skóra mi ścierpła, jakom już wspomniał, Benyś. Zaraz każe precz wyżeglować. A on oddala się bez słowa. Dzwonię: raz-dwa-trzy razy. Bo światła są już z obu burt. I wnet z pomostu słyszę ten piękny jego głos, któryśmy w bitwie słyszeli: — Hej,

chłopcy, skończona nasza tułaczka! Polska przed nami jest! Jako żywo! Rozwinąć wszystkie żagle! — Tom się uradował. A światła coraz więcej przybywa, światła coniemiar. Jaśniej, tryskają, białe, czerwone, zielone, pluskają dokoła po fali, jak delfiny. Ruch się wszczął okrutny na bursztynowym naszym okręcie. I takeśmy za potężne kamienne bulwarki owego grodu, przed nami, zawinęli. Wspinały to był gród...

— To był nasz Gdańsk! — zawołał Benyś Szelf, porwany opowieścią, a pragnąc jednocześnie sen przyjaciela jakoś sobie wytłumaczyć.

— Nie, to nie był Gdańsk, chociaż podobnie się zwał.

— Ej, Hewelku! — począł wołać Benyś w strachu, że Jurek znowu na drugie lat trzysta zasypia. — Latarnia blisko. Czas wstawać!

Lecz Hewelek leżał cichutko, jakby był z litego bursztynu. Wreszcie przetarł czoło i zawołał radośnie: — Benyś! Wiem już, jak się ów gród nazywa. Przypomniałem sobie. Ów gród zwie się — Gdynia!

PRZYPISY.

Abordażnicy — część załogi okrętowej, przeznaczona do szturmowania okrętu nieprzyjacielskiego (z francuskiego *à bordage*).

Appelmann Ellert — dowódca „Biegnącego Jelenia”, dowodził w stopniu admirała eskadrą Władysława IV i odpędził Szwedów z pod Gdańska w 1653 r.

Arciszewski Eljasz — pułkownik artylerji za Zygmunta III. Wykształcony i dzielny oficer.

Arciszewski Krzysztof — Generał artylerji za Władysława IV. Za młodu służył w wojsku holenderskiej kompanji Zachodnio-Indyjskiej i odznaczył się w walkach z Hiszpanami i Portugalczykami w Brazylii, w których osiągnął stopień admirałski. Holendrzy wybili medal na jego cześć.

Astrolabja — przyrząd do określania wysokości gwiazd nad widnokręgiem.

Bakbort — burta bakowa (dziobowa), lewa strona okrętu.

Bandera — flaga, oznaczająca przynależność państwową danego okrętu. W mar. woj. ma to sa-

mo znaczenie, co chorągiew w piechocie, lub sztandar w kawalerji.

Bandera polska — polska bandera wojenna, wprowadzona przez Zygmunta Augusta, przedstawiała zgiętą w łokciu rękę z zakrzywioną szablą w czerwonym polu; godło to jest obecnie umieszczone na proporcach (flagach, podnoszonych na dziobie) okrętów wojennych Rzeczypospolitej.

Baranki — niewielkie fale morskie, pokryte pianą na grzbiecie.

Berdysz — dawna ręczna broń sieczna, przypominająca kosę, osadzoną sztorcem.

Bezan-maszt — maszt tylny, ostatni maszt na okręcie, będący najbliżej rufy.

Bogactwa Polski — Polska w XVII—XVIII wieku była żywicielką całej Europy Zachodniej, dostarczając jej wszelkich gatunków zboża. Jednocześnie lasy polskie dawały stoczniom holenderskim, hiszpańskim, francuskim i angielskim najlepszy materiał budulcowy. Po polskie zboże i drzewo zawijało rok rocznie do Gdańska 6000 statków, co stanowiło około 45% ilości wszystkich statków europejskich.

Bosman — starszy podoficer marynarki, odpowiadający sierżantowi w piechocie, a wachmistrzowi w kawalerji.

Bryza — silny wiatr, dmący nad morzem od strony lądu; jeżeli dmie z morza, to nazywa się „morką”.

Bukszpryt — inaczej dziobak, poziomy maszt, sterczący z dziobu okrętowego, do którego są przy-

twierdzone więzie czyli liny, podtrzymujące przednie skośne żagle przedniego masztu, t. j. fok i kliwry.

Burta — boczna ściana kadłuba okrętowego, stercząca nad powierzchnią morza.

Ciąg — krótka linka, którą manewruje się żaglem. W danym wypadku Szwedzi poszli na spotkanie naszej flocie, idąc tym samym kursem, co Dykman, lecz w przeciwną stronę.

Cumy — liny, któremi okręt jest przywiązany (przycumowany) do nadbrzeża.

Człowiek za burtą! — okrzyk alarmowy, wskazujący, że ktoś wpadł do morza i że go należy niezwłocznie ratować.

Desant — oddział wojska lądowego lub marynarki wojennej, wysadzony na wybrzeżu nieprzyjacielskim.

Drablina — drabinka sznurowa, wiodąca z pokładu na maszt.

Dublon — złota moneta hiszpańska z XVI—XVII w., odpowiadająca mniej więcej polskiemu czerwonemu złotemu.

Dwunastofuntówki — działa, strzelające pociskami, ważącymi 12 funtów.

Dykman Arend — rodem z Lubeki (starostwiański Lubicz), admirał króla Zygmunta III, jeden z twórców marynarki wojennej tego monarchy, był dobrym wodzem i doświadczonym marynarzem.

Eskaadra — oddział okrętów wojennych, zostający pod dowództwem admirała lub komodora.

Ezelhoft albo *dyby* — obręcze, łączące z sobą części masztu. Urządza się na nich gniazdo bocianie.

Flag-lina — lina, na której zaciąga się banderę lub flagi.

Fok — inaczej maszt przedni, pierwszy z kolei maszt na okręcie.

Galeon — wielki okręt wojenny w XVI i pierwszej połowie XVII w. Miał trzy maszty z pełnem, t. j. prostokątnem i skośnem ożagłowaniem, dwa pokłady i artylerję, złożoną z 20—50 dział. Załoga dochodziła do 200 ludzi.

Grot-maszt — wielki maszt, drugi z kolei maszt na okręcie.

Grot-żagiel inaczej *gafla* — wielki żagiel, mający kształt trapezu.

Gródź — przegroda, ciągnąca się od burty do burty i od dna do głównego, t. j. nieprzerwanego najniższego pokładu; zabezpiecza przed zatonięciem; jest ich na okręcie kilka lub kilkanaście, zależnie od jego wielkości.

Hanza — miasta portowe nad Bałtykiem i nad rzekami, do Bałtyku wpadającymi, które Niemcy opanowali w XII—XIII w., wytępiwszy uprzednio rdzenną ludność słowiańską.

Hewel Jerzy — postać historyczna. Pochodził ze starej rodziny kupców gdańskich i był znany z przywiązania do Rzeczypospolitej. Król Władysław IV mianował go członkiem Komisji Okrętów Królewskich, odpowiadającej dzisiejszemu ministerstwu marynarki, i polecił mu nabywanie okrętów do marynarki wojennej. Z zadań tych Hewel wywiązywał się znakomicie.

Hol — lina, którą przytwierdza się statek, nie

mający lub pozbawiony własnego napędu, do drugiego statku, który go ciągnie, czyli holuje.

Inflanty — dzisiejsza Łotwa i Estonja, które mi władał w średniowieczu niemiecki zakon Kawalerów Mieczowych, pokrewny Krzyżakom.

Junga albo *chłopiec okrętowy* — niepełnoletni marynarz-ochotnik.

Kanonjer — szeregowy z obsługi działowej.

Kaper — ochotnik, zgłaszający się do wojny morskiej z własnym okrętem i załogą, a pobierający, jako zapłatę, część zdobyczy z nieprzyjacielskich okrętów wojennych czy statków handlowych. Za Kazimierza Jagiellonczyka zasłynęli kaprowie gdańscy: Bockelman i Vochs, a za Zygmunta Augusta: Dunin-Wąsowicz, Schärping i Munckenbeken.

Kierunki — w żegludze morskiej używa się następujących określeń na oznaczenie —

a) 4 kierunków zasadniczych:

1. Nord (Północ),
2. Sud (Południe),
3. Ost (Wschód),
4. West (Zachód);

b) 4 kierunków drugorzędnych:

1. Nord-Ost (Północo-Wschód),
2. Nord-West (Północo-Zachód),
3. Sud-Ost (Południo-Wschód),
4. Sud-West (Południo-Zachód).

Kil inaczej *stępką* — spodnia belka, ciągnąca się od dziobu do rufy i stanowiąca główne wiązanie kadłuba okrętowego.

Kluza albo *nozdrze kotwiczne* — otwór w bur-

cie na dziobie, przez który przechodzi łańcuch kotwiczny.

Kolumna czołowa — szyk, w którym okręty stają jeden obok drugiego, tworząc szereg; *kolumna torowa* — gdy idą rzędem, jeden za drugim.

Konieczpolski Stanisław — hetman wielki koronny, utalentowany i doświadczony wódz z pierwszej połowy XVII w.; nawoływał do tworzenia floty i budowy portów, niezależnych od Gdańska.

Ksenofont — wódz i słynny pisarz wojskowy grecki, znany z opisu odwrotu 10.000 żołnierzy greckich z głębi Persji do ojczyzny.

Kurs — kierunek, w jakim okręt idzie. Określa się on według kompasu i mierzy kątem, utworzonym przez linię Nord-Sud (Północ-Południe) z danym kierunkiem.

Kuter inaczej *bat* — niewielki statek rybacki o jednym maszcie.

Lanckoroński Bąk — Jan Bąk-Lanckoroński, pułkownik hussarji, jeden z najlepszych oficerów hetmana Stanisława Konieczpolskiego, wsławił się swemi śmiałemi napadami na Szwedów i czujnem strażowaniem na wybrzeżu morskiem.

Lawir — wiatr, dmący w niedogodnym kierunku i zmuszający do płynięcia zygzakiem, t. j. do lawirowania.

Latarnie bojowe — latarnie przy działach, komorach amunicyjnych i zbrojowni; obecnie światła bojowe.

Martwa fala — drobna, lecz silna fala, jaka pozostaje na morzu po burzy.

Mat — podoficer marynarki, odpowiadający kapralowi w wojsku lądowym.

Międzypokład — przestrzeń między pokładem górnym i artyleryjskim, na którym stały działa.

Moderunek — umundurowanie. Wprowadzono je we flotach dopiero w XVIII wieku.

Murray Jakób — emigrant szkocki, oficer i inżynier morski, organizował i budował flotę polską Zygmuntowi III, u którego miał wielkie zachowanie. Odnaczył się wybitnie podczas wojny ze Szwedami.

Nawietrzna — strona okrętu, wystawiona na działanie wiatru, zowie się nawietrzną, przeciwległa jej — zawietrzną lub podwietrzną.

Odbijacz — gruby węzeł z lin, mający kształt owalny; używa się go jako buforu przy przybijaniu do nadbrzeża lub przy stawianiu obok innego okrętu, aby uniknąć zgniecenia lub połamania burty.

Oko — posterunek na okręcie, obowiązany obserwować, co się wokół dzieje i co widać.

Pacholek — metalowy, a dawniej drewniany, słupek na pokładzie okrętu lub na nadbrzeżu, na który nawijają się liny.

Palna świeca albo *lont* — tlejący się nasiarkowany sznur, którym kanonier dotykał podsypki prochowej w dziale, powodując wystrzał.

Panew lub *panewka* — miedniczka metalowa w dawnej broni palnej, na którą sypano proch.

Pardon (z francuskiego *pardon* — przepraszam) — okrzyk, oznaczający poddanie się.

Perlustrunek — przegląd (z łac. *Perlustratio*).

Rapier — długa, prosta szabla o jednym ostrzu.

Reja — drąg o długości, która odpowiada mniej więcej szerokości okrętu, umocowany poziomo do masztu i służący do rozwijania i zwijania przymocowanych do niego żagli.

Rumb — kąt na kompasie, odpowiadający $11,25^\circ$. W żegludze morskiej określa się zawsze miejsce danego przedmiotu, licząc rumby na Ost (Wschód) lub West (Zachód) od kierunku, w którym okręt płynie.

Sygnały — do dnia dzisiejszego są stosowane w marynarce wojennej i handlowej sygnały, polegające na podnoszeniu do najniższej rei przedniego masztu różnobarwnych flag, które bądź pojedynczo, bądź w zestawie po parę oznaczają poszczególne życzenia, żądania i rozkazy. Sygnalizacja flagowa datuje się od czasów rzymskich, a została uporządkowana przez Anglików w XVII wieku.

Szefł Benedykt — marynarz polski, rodem Kałszuba, postać historyczna. Odznaczył się w bitwie pod Oliwą, zdobywając banderę nieprzyjacielską.

Sztaba Jakóba — przyrząd, przypominający kątomierz i używany dawniej w żegludze morskiej do określenia wysokości słońca nad widnokreśm; obecnie zastępuje go sekstans.

Sztymbork — burta sterowa (rufowa), prawa strona okrętu.

Trap — drewniane schody z poręczą, opuszczone za burtę okrętu podczas postoju, do których przybijają łódzie.

Trawers — linja, przeprowadzona z okrętu prostopadłe do jego długości przez dany przedmiot.

Wachta — załoga okrętowa dzieli się na wachty, t. j. oddziały, składające się z szeregowych, z których każdy ma ściśle określony obowiązek i pracę. Podczas postoju jest wachta kotwiczna, a podczas ruchu — wachta pochodowa.

Wart rufowy — iść w warcie rufowym, to znaczy płynąć wślad za danym okrętem, naśladować wszystkie jego ruchy i mając swoją linję od rufy do dziobu, jako przedłużenie tej linji danego okrętu.

Wisłoujście — Latarnia (niem. Weichselmünde), twierdza nadmorska przy ujściu Wisły, brońca dostępu do Gdańska.

Witt Herman — zastępca adm. Dykmana. sprawował dowództwo nad flotą Rzeczypospolitej po bitwie Oliwskiej.

Wyporność — ciężar własny okrętu, równający się ściśle, na zasadzie prawa Archimedesza, wadze wody, wypartej przez ten okręt. Wyporność mierzy się obecnie w tonach (1 tona — 1000 klg.). Jest ona cechą charakterystyczną dla okrętu wojennego, jak pojemność (objętość wnętrza, mierzona w metrach sześciennych albo tonach rejestrowych, 1 tn. rej. — 2,83 m. sześć.) — dla statków handlowych.

Zagwoździć dział — uczynić je niezdolnem do użytku przez wbicie żelaznego nita w zapal.

Zapał — otwór w zamku lufy u dawnych dział, gdzie był podsypywany proch, który zapalano lontem.





26742/
1